

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

**SŁOWA CIENKIE I
GRUBE**

Tadeusz Boy-Żeleński

Słowa cienkie i grube

«Public Domain»

Boy-Żeleński T.

Słowa cienkie i grube / T. Boy-Żeleński — «Public Domain»,

Tadeusz Boy-Żeleński w swoich felietonach porusza przeróżną tematykę — potrafi zabierać głos w ważnych sprawach społecznych i politycznych, jest wybitnym znawcą literatury francuskiej i w doskonały sposób opowiada o artystycznym świecie polskich literatów. Felietony dotyczące najróżniejszych spraw obyczajowych, niekiedy uzupełnione wątkami autobiograficznymi lub autotematycznymi, to kolejny popis pióra Boya. W felietonach z publikacji Słowa cienkie i grube mówi o szkole i relacjach nauczyciel-uczeń, opowiada o szarytkach, o używanych słowach, o zarzutach czytelników, a także zastanawia się, dlaczego podczas całowania należy wydać charakterystyczne cmoknięcie. Słowa cienkie i grube, wydane po raz pierwszy w 1931 roku, to kolejny zbiór felietonów jednego z najwybitniejszych polskich publicystów przełomu XIX i XX wieku.

© Boy-Żeleński T.

© Public Domain

Содержание

Słowa cienkie i grube	5
Jadwiga	8
Nasi goście	11
Rozważania świąteczne	14
O wyzyskaniu dóbr naturalnych	18
Paraliż postępowy a my	20
Dokumenty	26
Jeszcze dokumenty	29
Asnyk ⁴⁹ i dziewczyna	32
Конец ознакомительного фрагмента.	33

Tadeusz Boy-Żeleński

Słowa cienkie i grube

Słowa cienkie i grube

Po którymś moim niedzielnym felietonie pewien znajomy, spotkawszy mnie, zapytał: „Czy bardzo panu nawymyślano? – Nie bardzo, odrzekłem; ot, wszystkiego jedno pismo zaczęło mnie i to dosyć miękko. – Cóż panu napisali? – Że powinno się mnie postawić pod pręgierzem... – To pan nazywa miękko? No, to pan jest wymagający”...

Wzdrygnąłem się, jakbym na nowo usłyszał. Prawda! Ależ to jest najcięższa zniewaga, jaką można komuś powiedzieć. **Pręgierz**, pod którym stawiało się złoczyńców i nierządnicę... W istocie, to nie jest tak „miękko”...

I zadumałem się nad straszliwym zużyciem słów w epoce, w której żyjemy. To zaczyna być niebezpieczne: niedługo nie będzie sposobu człowieka zwymyślać ani obrazić w druku; zatracą się wszelka wrażliwość na obelgi. O ileż roztropniej postępowano w tym dawniej, zaczynając bardzo oględnie, aby sobie zostawić całą drabinkę zniewagi. I jak ludzie rozumieli te odcienie! Na proste: „pan X. mija się z prawdą”, już pan X. nadstawiał ucha; gdy ktoś dodał: „pan X. mniej lub więcej świadomie mija się z prawdą”, pan X. marszczył brwi; a kiedy ktoś napisał: „pan X. nie bez udziału świadomości skłonny jest mijać się z prawdą”, pan X. posyłał sekundantów. Im obraza była subtelniejsza, im bardziej zawinięta w bibułki, tym była dotkliwsza, tym bardziej drażniąca swą dżentelmeńską ironią. A teraz co? Pisze się: „Pan X. łże jak pies”. Pan X. czyta to przy śniadaniu i śmieje się. Co gorsza, nawet pies nie czuje się obrażony.

Stanęliśmy u kresu. Stała wyczerpana. Powie kto: „łże jak tysiąc psów, jak sto milionów psów” etc., to już jest tylko proste zjawisko inflacji psów bez pokrycia. Doszliśmy do granic, w których zwykły słownik nie wystarcza, w których trzeba sięgać do archaizmów, do folkloru, trzeba improwizować, tworzyć rzeczowniki, czasowniki, zaskakiwać niespodzianką połączeń, wtedy można nareszcie mieć nadzieję, że ktoś usłyszy. Wyzwisko musi być obrazowe, niesłychane, trzeba nim umieć zonglować, podbijać je jak wolant¹. Słowem, wymyślanie – aby je ktoś zauważył – musi być twórcze; dziś, aby kogoś zwymyślać, trzeba być artystą słowa. Ciężkie słowo musi frapować, musi bawić, elektryzować; ten kto je tworzy, musi je tworzyć w radości, w upojeniu. Inaczej nic nie osiągniecie; waszych „pręgierzów” nikt nawet nie zauważy. Banalność nic dziś nie wskóra. I ta konieczność **uartystycznienia** zniewagi, to jest jedyny pocieszający objaw towarzyszący jej dewaluacji.

Może to jest mój narów myślenia, ale kiedy słyszę wyzwiska, oceniam je przede wszystkim miarą – literacką. Interesują mnie jako dokument twórczości polskiego języka. I kiedy, niedawno temu, po pewnym historycznym orędziu, wszyscy dokoła pytali z niepokojem „co na to powie Europa”, mnie daleko bardziej interesowało, co o tym mówi – Linde.

Biorę czcigodny tom słownika Lindego, tej arki polskiego słowa, dzieło, do którego zawsze zaglądam ze zmysłową przyjemnością. Szukam (traktuję rzecz naukowo, więc będę mówił tu z całą prostotą) szukam więc bezokolicznika **fajdać**. Znajduję: „**fajdać**, obacz **fejdać**”... Skrzywiłem się. Bardzo nie lubię w słowniku i encyklopedii znaku „patrz” albo „obacz”. Kiedy się uczyłem francuskiego, miałem stary słownik francusko-polski. Szukam raz słowa „**stad**”, znajduję „obacz **ztad**”; zaglądam pod „**ztad**”, znajduję „obacz **stad**”... Z pewnością (myślę) pod **fejdać** będzie „obacz **fajdać**”, i tyle. Ale nie, jest. Jest etymologia i znaczenie, i przykłady. Ach, przykłady:

¹ *wolant* (daw.) – tu: korkowa piłeczka z piórkami, lotka, używana w grze w wolanta, przeznaczona do odbijania raketkami ponad siatką. [przypis edytorski]

Anielskie tam mieszkanie, gdzie nie jadają, ani fejdają...
Nie pomogą rajce, kiedy się fejdać zachce...
By był wilk nie fejdał, już by był dawno za górą...

Cudowne! Daruję wam pierwsze dwa aforyzmy, ale ten ostatni, o wilku, jest niesłychany, wspaniały, na wysokości najwyższych rzutów geniuszu, przewyższa owo molierowskie „*qu'allait il faire dans cette galère*”². Cóż za skrót, coś za filozofia, coś za przedziwna satyra na owo jałowe „gdybanie”, na owo bezcelowe grzebanie się w niepodobieństwach. Gdyby nie był... , byłby za górą, oczywiście, ale ponieważ wiadomo jest, że nie może nie... A może to jeszcze inaczej rozumieć: jako kontrast między znikomą czynnością a ogromem góry do przebycia? Tak czy owak, trudno większą sumę mądrości zamknąć w dziesięciu wyrazach.

I oto mały przykład, ile my tracimy przez naszą pruderię, jakich się skarbów pozbawiamy. Bo tak już jest, że najtęższa mądrość ludu kryje się właśnie w tych odrobinę sprośnych, „niecenzuralnych” porzekadłach. Jędrna i zdrowa myśl okazuje do nich szczególną, niepojętą predylekcję. Kiedyś już notowałem z żalem, że wielka *Księga przysłów polskich* Adalberga³, mimo że przeznaczona dla badaczy, a nie dla popularnego użytku, przez pruderię wytrzebiona jest z tych najlepszych, najsoczystszych maksym. Pierwszym zadaniem przyszłej **Akademii literatury** powinno być wydać właśnie te brakujące w Adalbergu przysłowia wygnane niebacznie z sanktuariów języka.

I zadumałem się, na czym polega istota grubych słów, ich tonizujące działanie? Jest w tym jakaś tajemnica mowy i myśli ludzkiej. Bo że ta mistyka – nie waham się jej nazwać mistyką – istnieje, nie ulega wątpliwości. Żył w XVI wieku pisarz nazwiskiem Rabelais⁴, pisarz, którego sam wzniosły i katolicki Chateaubriand⁵ nie waha się ze złością nazwać „ojcem literatury francuskiej”. Otóż, dzieło Rabelais'go – cud mądrości i geniuszu! – jest po prostu tak zapaskudzone grubymi i sprośnymi słowami, w takim nadmiarze i w tak monstrualnych kombinacjach, że człowiek delikatny, nie mówiąc już o kobiecie, nie może pism tego autora wziąć do ręki. Zaczęto tedy mówić tak: mamy genialnego pisarza, mamy arcydzieło rozumu i dowcipu, ale zanieczyszczone. Cóż prostszego, jak oczyścić je z tych szpetnych narośli? Zostawić to, co mądre, wyciąć to, co plugawe, i dać narodowi francuskiemu, francuskiej młodzieży, czystego Rabelais'go. I o dziwo, kiedy spróbowano dokonać tej operacji, okazało się, że w tym oczyszczonym wydaniu Rabelais przestał być mądry, przestał być zabawny, nie zostało z niego nic. Grube słowa – jak się okazało – nie były naroślą, ale były jakimś chemicznym połączeniem, mistycznym naczyniem myśli. Można Rabelais'go nie czytać, ale nie da się go oczyszczać.

Kiedy dalej rozmyślałem nad tą mistyką, doznałem naraz olśnienia. Miałem wrażenie, że zrozumiałem. Uderzyła mnie pewna ekonomia natury, znanej zresztą ze swoich groszowych, można rzec, i brudnych oszczędności. Zważmy. Wydychamy z płuc zepsute powietrze. Wydychać je musimy, pod grozą zatrucia. Otóż, to zepsute powietrze zużywa natura dodatkowo, mimochodem, do wydawania głosu, przepuszczając je przez naszą krtań. To jest tak, jakby na przykład siłą popędową wody spływającej ze zlewów dmuchać w wielkie organy w filharmonii. Oszczędność, niewątpliwie; ale jest coś niesamowitego w tym, że najcudniejsza pieśń, najpodnioślejsze słowo, wszystko to pędzone jest przez naszą krtań zepsutym powietrzem. Czyż wobec tego można się dziwić, że mowa ludzka bywa nieschludna? Raczej powinniśmy się dziwić, że nie same plugastwa z ust naszych

² *qu'allait il faire dans cette galère* (fr.) – coś miałby robić na tej galerze; słynny cytat z *Szelmostw Skapena* Moliera. [przypis edytorski]

³ Adalberg, Samuel (1868–1939) – historyk, paremiolog, tj. badacz przysłów. [przypis edytorski]

⁴ Rabelais, François (ok. 1484–1553) – fr. pisarz, lekarz i mnich, autor powieści *Gargantua i Pantarguel*. [przypis edytorski]

⁵ Chateaubriand de, François-René (1768–1848) – fr. pisarz i polityk, autor m.in. powieści poetyckiej *René* oraz opowiadania *Atala, czyli Miłość dwojga dzikich na pustyni*. [przypis edytorski]

wychodzą! I czyż dziw, że kiedy mowa ludzka chce być absolutnie, nieziemsko czysta, wówczas tak często trąci hipokryzją?

Iluż zresztą myślicieli zastanawiało się przede mną nad tymi tajemniczymi zaiste sprawami; iluż ich dziwiło się osobliwym kombinacjom przyrody, łączącym w jednym organie funkcje nieraz tak bardzo rozbieżne! Miłość, sama miłość, ten najwyższy podobno cel przyrody! Czyż nie mogłaby przyroda sprawić nam na nią (pytano z żalem) osobnego kompletu? To już praktyczność za daleko posunięta; coś jak karabin, który by służył i za lewatywę. Czemu to wieczne połączenie anielstwa z paskudztwem, wzniosłości z przyziemnością? Czy nie tu trzeba szukać najgłębszego źródła wybryków naszej mowy? I tak ze wszystkim. Wracając do narządów mowy, czyż jest jeden jej organ pomocniczy, który by nie służył do innego celu? Jak nie ma być sprzeczności, jak nie ma być obłudy? Kaznodzieja prawiący o wstrzemięźliwości, raz po raz, mówiąc, trąca o podniebienie językiem, który jest narządem smaku; prawiąc o czystości, wypuszcza słowa przez wargi, stworzone zarazem do picia, do gwizdania i do pocałunku. Oszczędność. Nieczyści jesteśmy i nieczyści pozostaniemy; tak orzekła ironiczna natura...

Jadwiga

Przyszedł do mnie nieznamy starszy pan i zwierzył mi się, że napisał sztukę teatralną. Pierwszą, jedyną w życiu. Jest lekarzem, ma lat sześćdziesiąt kilka, wycofał się już po trosze ze wszystkiego. – Pojmuje pan (mówi mi), nie zależy mi na „sławie”, ani na pieniądzach. Ja już myślę tylko o tym, aby się przygotowywać powoli do ostatniej podróży... Ot, przyniosłem to panu, może się to komu na co przyda. Niech pan przeczyta.

Zwykle wymawiam się mniej lub więcej grzecznie od takich ofert, ale tym razem zaciekał mnie utwór starego lekarza. Może przeczuwałem, że znajdę tam coś więcej niż złą literaturę? Przeczytałem. Sztuka jak sztuka; można powiedzieć, bez obrazy szanownego autora, że „jako taka” niewiele jest warta. Ale zainteresowała mnie przez swój stosunek do pewnych form życia.

Bohaterką jest niejaka pani Jadwiga, „bardzo ładna, szczupła i zgrabna, ma lat 37 a wygląda na 30”, objaśnia tekst. Pani Jadwiga ma męża, schorowanego i zbankrutowanego; nie kocha go, ale „przeżywszy z nim tyle czasu w bogactwie, nie może go opuścić teraz, gdy znalazł się niemal w nędzy”. Pracuje sama, jest agentką ubezpieczeń. Ale widocznie nie przynosi to dosyć; przy tym pani Jadwiga ma młodszą córkę, zięcia na dorobku, przywykła może sama do estetyki życiowej, więc... ma kochanka, bogatego starszego pana, którego też nie kocha, ale którego lubi i szanuje, który pomaga jej finansowo, z czego zresztą pani Jadwiga korzysta umiarkowanie, sama kładąc tamę wybuchom jego hojności. Ten starszy pan ubóstwia panią Jadwigę, ciągle proponuje jej rozwód i małżeństwo, jest najczulszym przyjacielem całego jej domu.

Interesująca ta osoba kocha potajemnie kogoś trzeciego; młodego lekarza Jana: ale nie widząc wzajemności, a ceniąc go wysoko, chce go dać za męża córce, która się w nim durzy od dziecka. Nie wiedziała pani Jadwiga, że Jan, pod maską udanej oziębłości, też kocha ją, Jadwigę, od dawna. Ale Jan ma swoją tajemnicę; miał syfilis, wyrafinowana uczciwość każe mu nie tylko stronić od kobiet, ale w ogóle unikać ludzi. Jest – trochę z dala – najoddańszym przyjacielem pani Jadwigi. Aby poznać dokładnie metody leczenia własnej choroby, Jan został wenerologiem.

Córka Jadwigi, zrażona obojętnością Jana, wyszła za mąż za innego; dla Jana zachowała zawsze odcień niewygasłego sentymentu. Młody lekarz wyleczył się, ale ponieważ jedynie wtedy można zyskać pewność wyleczenia, gdy się nabędzie tej choroby powtórnie, przeto, dla dobra nauki i ludzkości, Jan postanowił się poświęcić: zaszczepia sobie sztucznie syfilis. Choroba przyjęła się; był więc wyleczony! I znów jest chory, znów musi stronić od ludzi i posuwać najdalej ostrożność. Ale mając już doświadczenie, młody lekarz spodziewa się wyleczyć teraz szybciej.

Tymczasem mąż umiera; Jadwiga zostaje wdową. Pierwszym jej czynem jest zerwać z kochankiem; dzieci już jej pomocy nie potrzebują, ona sama zarabia dosyć na siebie, przeto „dziękuje za służbę” kochankowi, prosząc go: „Daj mi odpocząć od kajdanów, które wlekłam; pozwól mi wyprostować zgarbione plecy”. I, w momencie gdy pani Jadwiga prostuje „zgarbione plecy”, zjawia się Jan. Wyleczony, powtórnie wyleczony!... I wiecie, co ten fanatyk zamierza uczynić? Trzeci raz sobie zaszczepić syfilis, aby się przekonać, czy „leczenie abortywne”⁶, o którym marzył Ehrlich⁷, jest możliwe. Ale pani Jadwiga ma już tego dość. „Tego samego dnia, tej samej godziny przestanę żyć”, woła.

– Janku, mój Janku, podaruj mi na własność ten obiekt twoich okrutnych doświadczeń. Kochałam zawsze tylko ciebie jednego, żyłam tylko marzeniem o tobie.

– Kochałem cię zawsze, Kocham i teraz, moje złote biedactwo – odpowiada Jan, tuląc ją.

⁶ leczenie abortywne (daw.) – leczenie profilaktyczne. [przypis edytorski]

⁷ Ehrlich, Paul (1854–1915) – niem. naukowiec, wynalazca leku przeciw kile; laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. [przypis edytorski]

– Ale czy ty potrafisz zapomnieć o panu X., o jego akcjach i jeszcze... tego młodego klienta, tak podobnego do ciebie? To były tylko zmysły, ale nie miłość; o, nie...

– Jadziu, czyż nasze cierpienia miały tylko na celu stwierdzenie, że zwierzęca zazdrość i prawdziwie ludzka miłość są identyczne? – pyta Jan. – Postawmy krzyżyk nad naszą przeszłością.

I w chwili, gdy młodziutka babunia – bo pani Jadzia została tymczasem babką – tuli w ramionach Jana, wchodzi jej córka. Zrazu sztywnieje na ten widok; instynkt wszechzaborczości kobiecej staje dęba na widok szczęścia matki z tym, do którego ona zawsze rości sobie pewne prawa; ale na ciepłe i rozumne słowo matki rzuca się zawstydzona w jej objęcia.

I rzecz kończy się sielankowo słowami pani Jadwigi: „Drodzy moi, trzymajmy się mocno tego kawałeczka szczęścia, którego udziela nam skąpy los!”

Tak kończy się sztuka. Gdyby ją sądzić miarą obowiązującej moralności, bilans wypadłby strasznie. Mąż sutener, żona utrzymanka, zięć wprowadzający żonę do mieszkania kupionego za pieniądze kochanka jej matki, którego ona zdradza w dodatku „dla zmysłów” z trzecim, kochając czwartego! Słowem: błoto! Tymczasem tam nie ma ani jednego złego człowieka, wszyscy są dobrzy, delikatni, kochający, rzetelni, istna boża czeladka; a już ten doktor-syfilytyk, to wprost apostoł, bohater, maniak moralności. Bo ta sztuka jest aż nazbyt moralna, aż nadto sentymentalna.

Gdyby to napisał młody literat, można by powiedzieć, że chce olśnić cynizmem lub rzucić rękawicę społeczeństwu. Tymczasem to napisał stary lekarz, może bez świadomości, jak dalece jest rewolucjonistą. Pisał z tego, na co patrzył, co przemyślał; ot, dla siebie. Czyżby *moral insanity*? Raczej świadczyłyby to, jak bardzo znajdujemy się na przełomie; jak bardzo, w olbrzymich wstrząśnieniach, jakie świat świeżo przeszedł, popękały skostniałe kanony; brak nam jeszcze nowych, żyjemy na razie na dziko. Jesteśmy może w przededniu „przegrupowania” moralności, a raczej obyczajowości.

Jest tam scena między dwiema kobietami: panią Jadwigą i żoną jej kochanka, która – wedle klasycznej formuły – przychodzi żądać od niej zwrotu swego męża i ojca swego dziecka, grożąc skandalem. Pani Jadwiga miażdży ją swoim spokojem. Po stronie tamtej – prawowitej żony – jest obłuda i występki; po stronie Jadwigi prawda i uczciwość. Nie zabrała męża tamtej, niewiernej żonie, od której ten mąż odszedł dawno; nie zabrała ojca dziecku, które nie jest jego dzieckiem; przeciwnie, mimo że kochanek chce ją rozwieść i złożyć u jej stóp cały majątek, ona nie chce rozwodu, bo nie chce opuścić swego biednego i schorowanego męża; nie tylko nie chce nic nikomu wydrzeć, ale przeciwnie dopilnowała, aby jej kochanek ubezpieczył się na rzecz swej rodziny. Pani Jadwiga mówi to wszystko jak kobieta, która się czuje w prawie nosić wysoko głowę do góry; tamta wychodzi zawstydzona, bełkocąc: „Przepraszam bardzo, byłam źle poinformowana... i... dziękuję...”

Jest w tej sztuce – mimo że wyda się to paradoksem – wybitna, choć może błędząca po manowcach, dążność moralna; poczucie, że nie wystarczają nam dziś stare dogmaty życiowe, że etyka społeczna musi wrócić do swoich źródeł, a te źródła to ludzka dobroć, miłość bliźniego, ludzkie współczucie. To jest pewne, że pani Jadwiga nie wyrządza nikomu nic złego, a wszystkim, którzy są koło niej, zrobiła coś dobrego; jest dla swoich bliskich promieniem słońca, wszyscy mają dla niej wdzięczność i uwielbienie: czuć, że sam autor się w niej podkochuje. Jak tu ją wobec tego lżyć od jawno-grzesznic i wszetecznic, od złych żon i niegodnych matek? Tak, tu jest zadatek rewolucji etycznej; jesteśmy niewątpliwie w dobie przemiany pojęć, która w teatrze oczekuje swojego Ibsena⁸. Mój autor nim nie będzie; ale jest wyrazem tęsknoty za nim. Jestem pewien, że ludzie storturowani formułami, w imię których wykrzywiali i marnowali swoje i cudze życie, obejrzawszy się wstecz, zastanowią się bodaj nad tym zagadnieniem. Bo przymierzmy tylko dla próby, jak by wyglądało życie tych wszystkich osób, gdyby strzegły ściśle kanonów moralnych. Pani Jadwiga, wierna swemu schorowanemu i zrujnowanemu mężowi, byłaby nieszczęśliwą. Mąż, patrząc na jej ofiarę i smutek, gryzłby się i byłby nieszczęśliwy. Córka, mając tak nieszczęśliwych rodziców, też

⁸ Ibsen, Henrik (1828–1906) – norweski dramaturg, reżyser, dyrektor teatru, autor m.in. dramatów *Dzika kaczka*, *Nora czyli dom lalki*, *Peer Gynt*. [przypis edytorski]

kwaśna dla braku warunków życiowych, byłaby nieszczęśliwa. Amant pani Jadwigi, zamiast grzać się w jej promieniach, wegetowałby przy niekochanej i niekochającej żonie, i byłby nieszczęśliwy. Jan nie znalazłby w pani Jadwidze uroczej i dobrej przyjaciółki i też nie byłby szczęśliwy. Słowem, ile osób, tyle ofiar, tyle nieszczęść lub przynajmniej braku szczęścia. Czy nie za drogo kosztuje nas nasza moralność? – zdaje się pytać autor. I ludziom bardzo moralnym zdarza się czasem w chwilach zwątpienia zadać sobie to pytanie. Nie dziwny się tedy zbytnio temu staremu lekarzowi, który, gotując się – jak powiada – do ostatniej podróży, mówi nam na odchodnym: „Drodzy moi, trzymajmy się mocno tego kawałeczka szczęścia, którego udziela nam skąpy los”.

To musi być dobry człowiek! Szkoda, że pewnie żaden teatr nie zechce zagrać jego sztuki, której, nawiasem mówiąc, cały drugi akt rozgrywa się w gabinecie lekarza chorób wenerycznych. Też nie najmniej ważne pole walki o prawo ludzkości do szczęścia...

Nasi goście

W roku zdaje mi się 1920, wyszła powieść znanego pisarza francuskiego, Abła Hermant⁹ pt. *L'Heure brève*. Bohaterem jest literat paryski (rzecz dzieje się przed wojną), który zakochał się w utalentowanej Polce (coś w rodzaju Marii Baszkircew¹⁰), bawiącej w Paryżu, hrabiance **de Wieliczka**. Zainteresowała go tak, że kiedy wyjechała do kraju, literat pośpiesza za nią. Przybywa do Krakowa, mieszka w Grand Hotelu, opisuje dość wiernie pomnik Mickiewicza, obserwuje... „trojki”¹¹ kursujące po mieście, po czym odwiedza pannę w jej rodzinnym pałacu w Wieliczce. Ogląda w salonie bardzo nowoczesne meble sprowadzone z... Budapesztu, po czym przechodzi do jadalni, bo go panna zaprosiła na obiad. Nieco niemile uderza go, że widzi stół nakryty na pięćdziesiąt osób. „Mieliśmy być sami”... zwraca się z lekką wymówką do panny. – „Bo też będziemy sami, odpowiada hrabianka z zalotnym uśmiechem; to tylko zwyczaj krajowy, że się nakrywa stół *pour les pèlerins* (dla pielgrzymów)...”

Dodajmy, że Abel Hermant należy raczej do Francuzów podróżujących, był podobno jakiś czas w Rosji, może był i w Krakowie. I powieść ta nie jest bynajmniej szarżą w rodzaju jego powieści dyplomatycznych, rozgrywających się w fantastycznym „królestwie Galicji”; nie, to jest powieść psychologiczna.

Niech to da miarę, do jakiego stopnia Polska była dla cudzoziemca egzotycznym krajem. Ponieważ egzotyzm nie jest naszą szczególną ambicją, radzi przeto witamy cudzoziemskich wędrowców, którzy coraz częściej nas odwiedzają, aby nas osobiście poznać. Przyjeżdża ich sporo, najwięcej z Francji, bądź pojedynczo, bądź grupami; niechby ich było jak najwięcej.

Ale nie wyobrażajmy sobie, i oni niech sobie nie wyobrażają, że Polska jest łatwa do poznania. Polska ze swymi arystokratycznymi salonami, w których Francuz czuje się najzupełniej „*du côté de Guermantes*”, a po wyjściu z których opadają go na ulicy zgraje natrętnych żebraków, prawdziwych lub sztucznych kalek; Polska ze swoim północnym klimatem, w którym tak pięknie kwitną jedwabne pończoszki; z dwiema scenami obrotowymi i jednym gettem, z zadymioną i twardą Łodzią dającą 30 tysięcy franków nagrody poecie, etc., etc., wszystko to jest całość niełatwa do rozplątania dla cudzoziemca. Czuje się to w każdym drobiazgu; zwłaszcza w drobiazgach.

Bawił w Warszawie literat belgijski, wybitny poseł socjalistyczny. Było to w zimie. W pewnym domu, na zebraniu literackim, podano mu krupniczek. Oczywiście litewski. „To nasz napój narodowy”, objaśnia ktoś, widząc, że Belg łyka gorący trunek ze smakiem. „To wyborne, piłem to w Kownie, mówi gość z ledwie dostrzegalnym uśmiechem, tam mi także mówili, że to jest ich narodowy trunek”. Zrobiło się trochę nieprzyjemnie; wyglądało tak, jakbyśmy się podszywali pod krupnik litewski. Jak wytłumaczyć Belgowi, że i jedni, i drudzy mówili prawdę? Trzeba by mu przytoczyć pierwszy wiersz z *Pana Tadeusza*... Czyby zrozumiał? I tak z oparów krupniczka wyłoniła się na chwilę mroczna kwestia litewska...

Życie w Polsce jest może mniej zmechanizowane, mniej ujednostajnione niż w „Europie” i to bałamuci cudzoziemca. Stopień i gatunek kultury, sfery zainteresowań są bardzo rozmaite. I dlatego obserwacje i uogólnienia, do których tak skłonni są śpieszący się wędrowcy, zależą w zupełności od kół, w które się przypadkowo dostaną. Pewien francuski literat notuje, że najpopularniejszym w Polsce pisarzem francuskim jest Giraudoux¹² i zdziwiłby się niezmiernie, gdyby mu powiedzieć,

⁹ Hermant, Abel (1862–1950) – fr. pisarz, autor powieści i sztuk teatralnych. *Abła Hermant* – dziś popr. odmiana nazwiska: Abła Hermanta. [przypis edytorski]

¹⁰ Baszkircewa, Maria Konstantinowna (1858–1884) – malarka i rzeźbiarka, pochodząca z rosyjskiej rodziny arystokratycznej, znana jako autorka pisanego po francusku dziennika, który został opublikowany po jej śmierci. [przypis edytorski]

¹¹ trojka – zaprzęg trzykonny, typowy w XIX-wiecznej Rosji. [przypis edytorski]

¹² Giraudoux, Jean (1882–1944) – fr. pisarz, dramaturg. [przypis edytorski]

że poza tą właśnie garścią osób, z którymi on się zetknął, Polska nic prawie nie wie o istnieniu tego wybornego pisarza. I to są właśnie te nieporozumienia: kiedy np. po rozmowie z uroczą damą polską o najsubtelniejszych odcieniach homoseksualizmu u Prousta wpadnie mu w rękę statystyka analfabetów...

Można ogólnie powiedzieć, że poznawanie Polski przez cudzoziemców, zwłaszcza Francuzów, jest w samej zasadzie niewinnie zafałszowane, przez to, iż – rzecz prosta – skazani są na koła osób władających obcymi językami. Toż samo po trosze, gdy chodzi o wycieczki zbiorowe: też chętnie oddaje się miłych gości w ręce osób mówiących po francusku, co więcej mających czas i środki, aby robić honory. Jedzą podwieczorek u Branickich w Wilanowie i stwierdzają, że w Polsce dobrze się mieszka; polują u Tyszkiewiczów na wilki, zwiedzają Polskę od pałacu do pałacu. Trudno zaprzeczyć, że to jest bardzo dla nas pochlebny sposób zwiedzania; ale przesuwają on pojęcia o Polsce w duchu cokolwiek bardziej feudalnym niż jest w istocie. Widzi się to nieraz, kiedy się czyta wrażenia z takich podróży. Polska przedstawia się w nich jako kraj wybitnie myśliwski, gdzie mieszkania są strojne w głowy dzicze i rogi jelenie, a gospodarz wychodzi rano z fuzją, aby wieczór wrócić obładowany zwierzyną, którą wraz z całym domem się żywi. Serdeczność, z jaką witamy u siebie obcych, wyraża się stołem obficie zastawionym zakąskami (ten okropny sposób jedzenia, przy którym, stojąc, żongluje się małym talerzykiem, nakładając na niego kolejno śledzika, płucka, bigosik, majonez, flaczki, łososia, etc. uchodzi nie wiem czemu za nasz „narodowy”); robi to wrażenie takiego obżarstwa, że goście nasi (czytałem to niedawno) aż ostrym klimatem czują potrzebę tłumaczyć ogrom naszego rzekomego apetytu. Spotkałem też w takim „wrażeniu z podróży” informację, że w Polsce, kiedy się żąda w restauracji porcji jajek, normalna porcja jest sześć jaj. Może to są echa lektury *Krzyżaków*, gdzie przyrządzają Maćkowi z Bogdańca jajecznicę z dwudziestu jaj, bo jest chory?

Toteż, wśród coraz liczniejszej literatury podróżniczej o Polsce, uderza dobrą orientacją nowa książka państwa Barot-Forlière pt. *Notre soeur la Pologne*, z opaską, na której widnieją słowa: „**Poznać ją, znaczy pokochać ją**”... Państwa Barot pamięta wielu z nas z Warszawy, gdzie bawili, objeżdżając Polskę z wycieczką Przyjaciół Polski organizowaną przez „Różyczkę”. Pan Barot, lekarz, burmistrz Angers, wybitny dziennikarz, przemawiał w Warszawie na paru zebraniach, a jego przemówienia uderzały szczerą a rzeczową sympatią, wolną od zdawkowych łakoci. Zwracał uwagę głównie na konieczność nawiązania bliższej styczności między polską a francuską prasą prowincjonalną, której znaczenia nie docenia się, skupiając całe działanie na Paryżu; tymczasem prowincja to prawdziwa Francja, to wyborcy, to posłowie, to opinia kraju. Dał temu wyraz p. Barot, ogłaszając, rychło po powrocie z Polski, w swoim koncernie dzienników obszerny artykuł o Wilnie. Widziałem potem pana Barot w Angers, gdzie organizował mój odczyt i wobec sali mieszczącej 1.200 osób wygłosił gorące przemówienie o Polsce. Potem byłem u niego w domu: zaprowadził mnie do pokoju dziecinnego, do swego śpiącego już synka: ściany były dokoła pokryte rycinami etnograficznymi ludu naszego, przywiezionymi z Polski. „Pragnę, mówił mi p. Barot, aby to były pierwsze wrażenia mego syna”.

Książka pana Barot jest wzorem dobrej informacji. Tak wytrawny dziennikarz i dobry obserwator, daje w skrócie żywe i zajmujące obrazy, rodzaj szybkiej wędrówki po Polsce, ilustrowanej zresztą rycinami. Jest tam po trosze wszystko; historia, geografia, upadek i męczeństwo, odrodzenie i rozmach dzisiejszy, przemysł, wojsko, lud, robotnicy, szlachta, inteligencja, dusza polska, kwestia żydowska, „mniejszości”, wędrówka po głównych miastach Polski, od Poznania i Bydgoszczy po Lwów, od Katowic po Wilno z Krakowem i Warszawą pośrodku, wszystko bez przesadnych zachwyty, ale z sympatią i zrozumieniem. Nie najmniej wreszcie interesująca jest końcowa apostrofa pod adresem oficjalnych sfer francuskich, zarzucająca im niedostateczne zrozumienie kwestii polskiej dla Francji. „Szczypli i skąpo dotowany personel dyplomatyczny i konsularny nie może odgrywać w Polsce takiej roli, jaka by mu w najściślejszym kraju przypadła. Trzeba nam konsulów w dwudziestu miastach, a mamy ich w pięciu”, pisze p. Barot.

Francja, mówi dalej, nie umiała wyzyskać entuzjazmu, z jakim Polska garnęła się do poznania języka francuskiego, literatury francuskiej; nie ma dość kursów, nauczyciele są bardzo nierównej wartości. Znajomość Francji, pozostawiona spekulacji, jest bardzo jednostronna, literatura ukazuje raczej swoje wątpliwe strony. Nie dość dba się o odczyty, przyjeżdżają albo zatabaczeni profesorowie, albo zbyt modni literaci, którzy plotą androny, zostawiając rozczarowanie u publiczności; albo wreszcie ludzie zupełnie nieznający Polski i strzelający bąki. „Cała nasza propaganda dopiero oczekuje, aby ją stworzyć”, pisze autor.

Do tego jeszcze delikatna kwestia emigracji polskiej we Francji!

Wobec tych doniosłych zagadnień, pisze dr Barot, przy każdym wielkim dzienniku francuskim powinien być referent, który, znając Polskę, mógłby pisać o niej ze znajomością rzeczy, który byłby zdolny w chaosie telegramów odróżnić prawdę od fałszu, i przedstawiać we właściwym świetle sprawy polskie, tak ważne dla Francji. „Przez ignorancję – mówi ten Francuz – zaniedbujemy nasze stosunki z jedynym narodem w świecie, który nas naprawdę kocha”.

Te sympatie polskie nie są zresztą wymierzone przeciw Niemcom; w konkluzji autor pisze:

Związek gospodarczy, wiążący ściśle trzy wielkie potęgi przemysłowe kontynentalnej Europy – Polskę, Francję, Niemcy – byłby najpewniejszą ochroną przeciw straszliwej pladze przyszłych wojen.

A w końcu, aby uwydatnić znaczenie kwestii polskiej dla Francji, p. Barot przypomina słowa genialnego skarbnika Colberta, ministra Ludwika XIV:

Wielki Colbert mawiał do króla, swego pana: „Wścieka mnie tysiąc funtów wydanych na ucztę, ale kiedy chodzi o miliony złota dla Polski, zastawiłbym w potrzebie mienie mojej żony i dzieci, chodziłbym całe życie piechotą, aby na to znaleźć”.

Prosimy bardzo!

Rozważania świąteczne

Prosił mnie redaktor, aby poruszyć coś, co by mogło czytelników zająć przez święta. Jestem w kłopotcie; żyję tak na uboczu, tak z dala od świata, że dalibóg nie wiem, co kogo dziś interesuje. Ale jest jedno zagadnienie, które oblega mnie od wielu lat: mianowicie, czemu ludzie, kiedy się całują, muszą przytknąć ustami. Niech kto spróbuje: samo przyłożenie ust i trzymanie tak, choćby najdłuższe, nie daje moralnego zadowolenia; pozostawia uczucie czegoś niepełnego, niedoskonałego. Koniecznie musi nastąpić choćby lekki ruch warg, wydający owo charakterystyczne cmoknięcie. Pytanie to nie jest tak błahe, jakby się mogło zdawać; w najdrobniejszej rzeczy odbija się tajemnica wszechświata. To daje miarę, jak gęstym otoczeni jesteśmy mrokiem, jeżeli mechanizm rzeczy tak prostej – aby nie rzecz codziennej – jest nam zupełnie niezrozumiały. Jeżeli coś wydaje się nam proste, to jedynie dlatego, że wskutek nawyku przestaliśmy się nad tym zastanawiać, ale w gruncie wszystko jest równie cudowne, wszystko równie tajemnicze.

Co znaczy zatem owo przytknięcie, zamykające w sobie misterium pocałunku? Czy ono jest czysto konwencjonalne, obyczajowe, tak jak trącenie się kieliszkiem przy piciu wódki? Ale czy w takim razie mogłoby ono powodować tak potężny nieraz wstrząs, tak bezwzględny afirmatyw rozkoszy? Czy wargi opatrzone są swoistym aparatem miłosnym? Ależ są na świecie ludy, które znają miłość a nie znają pocałunku. Czy to jest błyskawicznie wywiązująca się reakcja chemiczna, przy której ten mechaniczny wstrząs odgrywa rolę niby potrząśnięcia epruwetki¹³ przy doświadczeniu chemicznym? Czy to jest krótkie spięcie elektrycznego prądu, połączone czasem ze spalaniem stopki? Przeciw temu przemawiałyby znów okoliczności, że pocałunek nie jest wszak wyłącznie przewodem miłości. Dlaczego to przytknięcie tak samo odbywa się przy zwykłym pocałunku przyjaźni między mężczyznami? Czemu nawet pielgrzym, oglądający po latach ziemię rodzinną, przypadłszy do niej twarzą, nie poprzestaje na przyłożeniu do niej ust, ale musi przytknąć? Ten ostatni przykład przemawiałby przeciw teorii elektrochemicznej. I znów pogrążeni jesteśmy w ciemnościach.

Zasięgam zdania mędrców: patrzę do małego Larousse'a¹⁴. Definicja: *Poser les lèvres* – przyłożyć usta... Oczywiście fałsz: przyłożenie ust nie jest pocałunkiem, tak jak położenie rąk na klawiszach nie jest graniem na fortepianie.

Biorę polski słownik Arcta¹⁵:

Pocałować: dotknąć kogoś ustami na znak szacunku, miłości, przyjaźni...

Zatem ten sam błąd; dotknąć, tylko dotknąć. Ale jest tu coś więcej, coś bardzo ważnego: pocałunek jest dla Arcta tylko znakiem, **znakiem** miłości; coś tak jak posłanie kwiatów kobiecie w dniu oddania się, obowiązujące w czasach, które tak dobrze opisuje Alfred Konar¹⁶. Zanotujmy zatem: dla Arcta (biedny człowiek!) pocałunek jest tylko **symbolem**. Znam innych księgarzy, dla których pocałunek jest bezpośrednim **wrażeniem**, wartym, aby dla niego zaniedbać czasem księgarnię.

Ale coś mnie tknęło: zajrzałem jeszcze do tegoż samego Arcta pod wyraz „całować”. Chcecie przykładu jak lekkomyślnie traktuje się tę kwestię? Pocałować, całować, to wszak jedno i to samo; i oto czytajcie:

¹³ *epruwetka* (daw., z fr.) – próbówka. [przypis edytorski]

¹⁴ *Larousse* – wydawnictwo encyklopedyczne założone przez francuskiego pisarza, leksykografa Pierre'a Larousse; mały Larousse to podręczny słownik języka francuskiego. [przypis edytorski]

¹⁵ *Arct, Michał* (1840–1916) – wydawca i współautor *Słownika ilustrowanego języka polskiego* oraz *Słownika wyrazów obcych*. [przypis edytorski]

¹⁶ *Konar, Aleksander Alfred a. Konar, Alfred Aleksander* (1862–1941) – pisarz, autor m.in. powieści *Ojcowie i my*, *W pogoni za szczęściem*. Powieść z czasów przedwojennych, *Siostry Malinowskie* itp. Odznaczony Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury za wybitną twórczość literacką w 1935 r. Zginął w getcie warszawskim. [przypis edytorski]

Całować (kogo, co, lub w co), cmoknąć, dotykając ustami ściśniętymi ciała lub przedmiotu, jako znak pieszczoty, czci, uszanowania...

Zatem **pocałować** było tylko **dotknąć**; natomiast **całować** jest **cmoknąć ściśniętymi ustami**; w jednym podręczniku dwie zupełnie różne definicje tej samej rzeczy. („Cmoknąć” Arcta pokrywałyby się mniej więcej z moim „przytknąć”). W jednym tylko jest Arct konsekwentny: wciąż pocałunek jest dla niego jedynie **znakiem**.

Nie poprzestałem na tym; biorę jeszcze innego Arcta: *Słownik frazeologiczny*. Czy uwierzylibyście? – mamy trzecią definicję!

Całować, synon. cmokać, przycisnąć usta do czegoś.

Utrzymało się zatem **cmokać**, ale poprzednie **dotykać** zmieniło się na **przyciskać**. Nieściskość czy ewolucja? Trzeba by wiedzieć, kiedy Arct zaczął cmokać, kiedy zaczął **przyciskać**, zamiast **dotykać**? Dałoby się to może ustalić przez porównanie dat wydania słowników. *Słownik języka polskiego* wyszedł w r. 1916; ba, ale *Słownik frazeologiczny* ma trzy daty: pierwsze wydanie w r. 1898, ostatnie w r. 1928... Trzeba by mieć wszystkie trzy wydania i stwierdzić, w którym roku na przestrzeni 30 lat – Arct zaczął przyciskać, jeżeli mamy przyjąć ewolucję, a nie prostą nieściskość.

Zanim przejdę do innych autorów, zaglądam po drodze do *Słownika etymologicznego* Brücknera¹⁷: nie jest do pogardzenia, co ten wytrawny pisarz powie o pocałunku. I w istocie, znajduję tam wywód niezmiernie ciekawy: **pocałunek, całować**, wywodzi Brückner od słowa **cały, całość**. Zważcie: ten jurny starzec nie waha się wyznać, że czuje się jedynie niekompletną częstką w chwilach gdy nie całuje. Całować jest, wedle Brücknera, najściślej spokrewnione z matematycznym **całkować**.

Ale idźmy dalej. Biorę *Encyklopedię* Trzaski, Everta i Michalskiego¹⁸, świeżutko wydaną pod redakcją Lama. Nie ma w ogóle słowa całować w żadnej kombinacji!

Biorę dawniejszą *Encyklopedię* Orgelbranda¹⁹:

Całowanie polega na tym, że przykładą się usta do ciała; przez wciąganie powietrza przyłożone usta silnie przylegają i przy ich oderwaniu tworzy się dźwięk właściwy; fizjologiczne więc wytłumaczenie tej czynności jest bardzo proste...

Zaiste dziwne rozumowanie! Nie widzę, co się Orgelbrandowi wydaje tu tak proste; chyba to, jak powstaje dźwięk; ależ przecież tutaj nikomu nie chodzi specjalnie o dźwięk... O, ci uczeni, nieśmiertelnie molierowscy! Czytajmy dalej:

...trudniej to zrozumieć, dlaczego ruch ten stał się powszechnie przyjętym symbolem dla wyrażenia rozmaitych dodatnich uczuć między ludźmi, miłości, szacunku, przyjaźni?...

Nareszcie Orgelbrandowi coś jest trudno zrozumieć: odzyskał poczucie tajemnicy; to go rehabilituje w moich oczach.

Zaglądam do starej *Encyklopedii* Sikorskiego²⁰:

Całowanie, używane w ceremoniach wszystkich religii, służyło za najogólniejszy symbol uczczenia...

¹⁷ Brückner, Aleksander (1856–1939) – filolog, historyk kultury i literatury polskiej, członek Akademii Umiejętności. [przypis edytorski]

¹⁸ Trzaska, Evert i Michalski – wydawnictwo Księgarnia i Dom Wydawniczy TEM, założone w 1920 r. przez księgarzy Władysława Trzaskę i Jana Michalskiego oraz handlowca Ludwika Everta. [przypis edytorski]

¹⁹ Orgelbrand, Samuel (1810–1868) – wydawca, encyklopedysta; prowadził też drukarnię, księgarnię i wypożyczalnię książek. Zorganizował powstanie 28-tomowej *Encyklopedii Powszechnej* (1859–1868). Pochodził z tradycyjnej rodziny żydowskiej, był zwolennikiem asymilacji Żydów w polskim społeczeństwie. [przypis edytorski]

²⁰ *Encyklopedia Sikorskiego – Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana*, powstała z inicjatywy Saturnina Sikorskiego, wydawcy i dziennikarza. Nie została ukończona: w latach 1892–1914 ukazało się 55 tomów, do litery P. [przypis edytorski]

I cały czas Sikorski rozważa pocałunek wyłącznie z punktu religijnego: całowanie papieskiego trzewika, całowanie sprzętów i naczyń świętych... O innym zastosowaniu pocałunku – cisza. Panie Sikorski?!

Już mam dać za wygraną, kiedy jeszcze przychodzi mi na myśl zajrzeć do najstarszego wydania Orgelbranda z r. 1860. I tam dopiero znajduję kopalnię wiadomości:

...Pod względem mechanicznym jest to pewna odmiana przyssania, o ile przez to ostatnie rozumiemy przyłgnięcie jakiegoś przedmiotu do ust, sprawione mocą przewagi ciśnienia powietrza zewnętrznego nad tym, które przez wciąganie go w siebie i dłuższe utrzymywanie wdychu (obacz **oddychanie**) w jamie ust rozrzedzonym zostało. Mniejsze lub większe zaciśnięcie warg, tudzież prędzse lub wolniejsze oderwanie ich od przedmiotu, daje początek słabszemu lub mocniejszemu odgłosowi towarzyszącemu całowaniu...

To się przynajmniej nazywa definicja, coś jak słynne półkule magdeburskie²¹. Widać, że artykułik wyszedł spod odpowiedzialnego pióra, mimo że podpisany jest skromnie literami Dr J.M. Czytamy dalej:

Czucie miejscowe, jakiego się przy tym doświadcza, zależy od nerwów zaopatrujących wargi, i jako takie różni się jedynie według rodzaju powierzchni z ustami zetkniętej. W miarę celu i udziału duszy, za tym miejscowym czuciem idzie ogólniejsze, napawające wskroś niewypowiedzianą lubością...

Nareszcie!! Był już czas!

Ale czytamy dalej:

Przede wszystkim (?) daje się to dostrzegać w **pocałunku miłosnym**. Wszystko co, stosownie do swojej przyrody, człowiek ma w sobie zwierzęcego, jest w nim zarazem, a przynajmniej być powinno, więcej uduchowione i odznaczone tym sposobem szlachetniejszą cechą. Tak więc i popęd utrzymania swojego rodzaju przechodzi tu właściwy zwierzętom zakres prostej zmysłowości, a wplatając się niepoliczonymi pasmami we wszystkie stosunki życia, rozkwita miłością. Pierwszym miłości zadatkem i zewnętrzną psychiczno-zmysłową oznaką jest pocałunek. Stykają się tu ściśle części ciała, które przyczyniają się nie pomału do utworzenia ludzkiego oblicza, owego światła i zwiastuna tego, co się dzieje w sercu i umyśle, części, których udział ich w mowie nadaje przed innymi wyraz żywotności, części, celujące nad wszystkimi wytwornością czucia. To zespolenie części symbolicznie takiego znaczenia, obok chwilowej ułudy, że razem z tchnieniem ukochanej osoby jako bezpośrednią oznaką życia napawamy się tym drogim nam życiem, nadaje czysto miłosnemu pocałunkowi nieopisaną lubość, pewną uroczyść i zadowolenie żywsze nad wszelkie wrażenia zmysłowe...

„Zadowolenie żywsze nad wszelkie wrażenia zmysłowe”... Słyszycie? Czy mogłem wam dać lepszy tekst do refleksji świątecznych, na te dni opilstwa i obżarstwa? Jakie wyciągnięcie z tego konsekwencje, to wasza sprawa.

Co do mnie, pragnę stwierdzić jeszcze jedną rzecz, rzucającą ogólniejsze a dość niewesołe światło na naszą współczesną kulturę. Mianowicie że, aby znaleźć obszerne omówienie, wyczerpującą i szlachetną definicję pocałunku, trzeba nam było sięgnąć **aż do roku 1860**, do najstarszego Orgelbranda! Już nowy Orgelbrand uboższy jest w tym paragrafie i bardziej powierzchowny.

²¹ *półkule magdeburskie* – doświadczenie fizyczne z 1654 r., które zademonstrował w Magdeburgu Otto von Guericke (niem. polityk i uczonek, 1602–1686); był to efektowny dowód na istnienie powietrza i działanie ciśnienia. Po wypompowaniu powietrza pomiędzy dwóch doskonale dopasowanych półsfery próbowano je rozdzielić, do czego okazała się niezbędna siła kilkunastu koni. [przypis edytorski]

Bałamutne definicje Arcta (**dotykać** czy **przyciskać**?) świadczą, jak mu ta kwestia jest w gruncie obojętna. Ale czy może być coś bardziej znamiennego niż to, że w wydanej w roku 1928 encyklopedii Trzaski, Everta i Michalskiego słowo **pocałunek** w ogóle znika, podczas gdy o słowie „**penis**” jest cała stronica, trzy razy tyle co o Słowackim? Czy trzeba wymowniejszego dokumentu świadczącego o zmaterializowaniu, aby nie powiedzieć zezwierzęczeniu miłosnym naszej epoki!

Wymieniłem tu same szanowne nazwiska księgarzy: oni wzięli na siebie niejako odpowiedzialność za traktowanie tej materii; kwestią ich zawodowego honoru jest tedy wypełnić tę lukę, uzgodnić te rozbieżności i nieścisłości. Proponuję zwołanie posiedzenia najpoważniejszych firm księgarskich w tym celu: to będzie godne zamknięcie „miesiąca książki polskiej”. Porządek dzienny: **pocałunek**. Już widzę, jak Wolff²², obrany przewodniczącym, rumieni się po białka, zagajając obrady, jak Morkowicz²³ gładzi poważną brodę... A Marian Steinsberg²⁴ patrzy wilgotnymi oczyma w dal i szepce strofę Heinego: *Am Tische war noch ein Plaetzchen, – da hast du, mein Liebchen, gefehlt*²⁵...

²² Wolff, Gustaw a. Wolff, Kazimierz Gustaw (1872–1951) – pisarz, księgarz i wydawca, syn Augusta Roberta Wolffa (1833–1910), współzałożyciela wydawnictwa Gebethner i Wolff. [przypis edytorski]

²³ Morkowicz, Jakub (1876–1931) – księgarz, popularyzator czytelnictwa, wydawca m.in. polskich tłumaczeń Nietschego. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Księgarń Kolejowych RUCH. [przypis edytorski]

²⁴ Steinsberg, Marian (1887–1943) – księgarz, wydawca m.in. Skamandrytów i Witkacego. [przypis edytorski]

²⁵ *Am Tische war noch ein Plaetzchen, da hast du, mein Liebchen, gefehlt* (niem.) – Przy stoliku było jedno puste miejsce, brakowało tam ciebie, kochanie; cytat z wiersza Heinricha Heinego *Sie saßen und tranken am Teetisch (Siedzieli i pili herbatkę)*, opisującego salonową dyskusję na temat miłości. Cytat pochodzi z ostatniej strofki i wskazuje na niedopowiedzenie: ten, kto wie naprawdę, czym jest miłość, milczy. [przypis edytorski]

O wyzyskaniu dóbr naturalnych

Miło jest, patrząc na świat, stwierdzać niewątpliwy postęp na wszystkich polach. W każdej dziedzinie dzieją się rzeczy, o których nam się nie śniło. Tak na przykład ja, wychowanek dawnej barbarzyńskiej szkoły, podziwiam instytucję **lekarzy szkolnych**, którzy badają periodycznie uczniów. Ale skoro się powiedziało **a**, trzeba powiedzieć **b**. Pragnąłbym rozszerzyć tę instytucję. Zdaliby się mianowicie lekarze szkolni dla badania periodycznego profesorów. Choroba ucznia – pomijając sprawy zakaźne – to, bądź co bądź, rzecz osobista; stan zdrowia profesora, człowieka, który ma w rękę los kilkuset dzieciaków, to sprawa o wiele donioślejsza. Na przykład paraliż postępowy²⁶, cierpienie, które zaczyna się nieznacznie, draży organizm na kilka lat nim wybuchnie, i zrazu ujawnia się jedynie nieokreślonymi zmianami charakteru – to rzecz, która może być bardzo poważna w skutkach.

Nie mówię tego na wiatr. Będąc w gimnazjum, miałem profesora niemczyzny – a niemczyzna była jednym z najgroźniejszych przedmiotów – prof. Feuchtingera. Pamięta go z pewnością niejedyn z mojej generacji. Otóż profesor ten więcej niż dwa lata chodził swobodnie z objawami paraliżu postępowego i uczył do ostatniej chwili, zanim, w trzy dni po klasyfikacji, na której „spalił” przeszło pół naszej klasy, umarł na atak ostrego szału. Wówczas dopiero zmiarkowano, co to było i dyrektor miał na tyle rozsądku, że nie formalizując zbytnio, anulował jego klasyfikacje. Ale zważywszy, co to musiała być za kolekcja oryginałów ci ówcześni profesorowie, skoro ten „paralityk postępowy” mógł chodzić niepoznany, uchodząc po prostu za jednego dziwaka więcej w owym gronie. Mówię „niepoznany”: otóż niezupełnie, bo uczniowie mieli o tym sąd dość jasny; uważali go za wariata, bali się panicznie jego strasznych błędnych oczu, kiedy zdejmował na chwilę wypukłe czarne okulary, same przez się już dające mu upiorny wygląd. Widziałem potem wielu wariatów, ale rzadko widziałem tak typowy wzrok obłąkanego. Miał ataki wścieklej srogości, potem znów skarżył się przed nami, płakał, opowiadał wciąż o jakimś parasolu, który mu ukradli, etc. Pamiętam raz, za jakieś przekroczenie zostawił mnie w „kozio”; zadał mi z trzydzieści stronic niemieckiej prozy do nauczenia się na pamięć, oczywiście szaleństwo! Było to niewykonalne; nauczywszy się z pół strony, zrezygnowałem; odłożyłem książkę i czekałem mego losu. Kiedy wszedł i popatrzył na mnie swymi strasznymi oczami, rozplakałem się; miałem uczucie, że jestem w klatce dzikiego zwierza. Wariata coś tknęło; obudziło się w nim jakieś ludzkie uczucie, nic nie powiedział i puścił mnie. Na podstawie tego doświadczenia, uważam za wskazane badanie, przynajmniej co pół roku, reakcji żrenicowej ciała nauczycielskiego z dyrektorem na czele. Wszyscy jesteście ludźmi!

Nieraz zastanawiała mnie ta olbrzymia ilość oryginałów, jakich pamiętam z moich czasów szkolnych. Czy dziwacy ciągną do tego zawodu, czy też w nim dziwaczejają? Może i jedno i drugie. Obierają ten fach zapewne ludzie rozmiłowani we własnym autorytecie; a namiętność ta rozwija się z czasem niepomierne, z groźnymi następstwami. Mieć zawsze rację, tego żaden człowiek nie wytrzyma; zawsze mieć rację może tylko Bóg. Przykłady sadyzmu też – o ile pamiętam – nie były odosobnione. Oczywiście mówię o szkole dawniejszej, z moich czasów: a ta kolekcja dziwaków, jaką ja zastałem, była niczym w porównaniu do tych, o których się słyszało z opowiadań starszych. I w tym zatem postęp jest niewątpliwy.

Mówi się często, że do tego zawodu trzeba zamiłowania, trzeba kochać młodzież. Otóż słowo „kochać młodzież” prowadzi nas dość prostą drogą do kwestii, która musiała mnie interesować zarówno jako lekarza, jak jako mędrca, mianowicie do kwestii homoseksualizmu w stosunkach między wychowawcą a uczniem. Proszę mnie źle nie rozumieć; nie chcę insynuować nic zdroźnego; ale z drugiej strony niepodobna przez pruderię zamykać oczu na to, co życie przynosi lub może

²⁶ *paraliż postępowy* (daw.) – porażenie postępujące, późne objawy kiły obejmujące narządy wewnętrzne i układ nerwowy. [przypis edytorski]

przynieść. Nie zapominajmy, że cała pedagogia grecka w swoich najpiękniejszych przejawach na tym się opierała; dość czytać Platona, aby widzieć, że ten charakter może się „sublimować” w najszczytniejsze wartości. Pamiętam z moich wspomnień coś podobnego, a raczej pamiętam dwa typy, jeden ujemny a drugi dodatni. Nie chcę się chwalić, ale prawda każe wyznać, że byłem ulubieńcem obu.

Jeden to wspomnienie z moich niższych klas. Był to katecheta, ksiądz N., człowiek rubaszny, z gruba ciosany, podobno był wprzód wojskowym, niezły człowiek, nie pozbawiony pewnego humoru, zabarwiający swoje lekcje i egzorty jaskrawym kolorytem, coś w rodzaju księdza Robaka, coś z *Proboszcza wśród bogaczy*²⁷, ale bez ich cnót. Miał on w klasie swoich ulubieńców, których obdarzał cukierkami i pieśzcotami, ale kiedy taki faworyt, zaufany w swój wpływ, przebrał miarę w psotach i zuchwalstwie (można wśród takich dzieciaków obserwować wszystkie typy **kurtyzan**, z panią du Barry włącznie), wówczas ksiądz puszczał w ruch trzcinkę. „Pani Trzcinkowska potańcuje ci tramblampolkę po sempiternie²⁸”, krzyczał tubalnym głosem swoim obrazowym językiem. Trzcinka była wówczas jeszcze oficjalnym narzędziem kary i spoczywała stale w szufladzie „katedry”. Ale wystarczyło, aby skarcony chłopiec złożył głowę na ławce w rękach, płacząc lub udając, że płacze, a skutek był niezawodny: zrazu ksiądz udawał że nie widzi, ale w końcu nigdy nie mógł wytrzymać, zbliżał się delikatnie na palcach, siadał obok w ławce, tulił płaczącego draba, obnażał mu rękę do łokcia, okrywał ją pocałunkami, podsuwał cukierki etc. Jednego dnia nie pojawił się w klasie; dowiedziawszy²⁹ się, że nie żyje, chodziły wieści, że się otruł wskutek jakiegoś doniesienia do władz. Wówczas były to rzeczy bardzo poważne.

Drugi – było to w wyższych klasach – był to najmilszy profesor i najlepszy pedagog, jakiego znałem. Był to młody człowiek, mały, o pół-dziecięcej drobnej twarzyczce, dyszkantowym głosem, z mizdrzącym się trochę, ale bardzo rzeczywistym wdziękiem. Uczył znakomicie, cudownie wtajemniczał nas w piękno łacińskich metrów, w kołyszącą niemal zmysłowo i jędrną na przemian poezję rytmów. Umiał zdobyć sobie posłuch, umiał grać na chłopakach jak na instrumencie, wydobywać z nich co najlepsze, pobudzać ambicję. Cała klasa kochała się w nim po trosze; wszyscy przedrzeźniali z czułością jego spieszczony sposób mówienia, patrzyli na niego w osobliwy sposób. Nigdy nie dopuścił się najmniejszej niewłaściwości, niczego co by nasunęło bodaj cień podejrzenia; ale wykładając nam łacińskich poetów, objaśniał nas – może trochę ponad program szkolny – (zważcie że było to bardzo dawno, w bardzo surowej epoce), że wszystkie te wiersze i ody pisane rzekomo do kobiet – wszystkie te Cyntie, Hostie, Tulie etc. – to jest mistyfikacja, przeróbka średniowiecznych mnichów-przepisywaczy, gdy w istocie były tam imiona chłopców. Zmęczając te imiona rumienił się, skłaniał głowę na ramię, przymrużał oczy, zasłaniał je ręką, robił wszystkie minki zalotnisi. Dziś, kiedy sobie to przypomnę, nie mam żadnej wątpliwości co do charakteru tych wynurzeń; utwierdzają mnie one zarazem w przekonaniu, że trochę „sublimowanej” pederastii jest może najistotniejszym tworzywem idealnego pedagoga. I pod tym względem byłoby niezmiernie ciekawe wysłuchać opinii i doświadczeń lekarzy szkolnych. Można by z tego wyciągnąć nawet praktyczne wnioski o nieobliczalnych następstwach. Dobro społeczne polega na właściwym wyzyskiwaniu przywar ludzkich; niedaleko by zaszło społeczeństwo, gdyby się opierało na samych cnotach...

²⁷ *Proboszcz wśród bogaczy* – *Mon curé chez les riches*, sztuka napisana przez André de Lorde'a i Pierre'a Chainé'a na podstawie powieści Clémenta Vautela. [przypis edytorski]

²⁸ *sempiterna* (daw. żart.) – tyłek. [przypis edytorski]

²⁹ *dowiedziawszy się* – tu właściwie: dowiedzieliśmy się. [przypis edytorski]

Paraliż postępowy a my

Niedawno ogłosiłem felieton potrącając od niechcienia, z własnych wspomnień, pewne sprawy pedagogiczne. Felieton ten obudził zainteresowanie wśród nauczycielstwa. Spomiędzy listów, które otrzymałem, pozwolę sobie przytoczyć dwa najbardziej znamienne; jeden od nauczyciela, drugi od nauczycielki:

Drogi Panie Boyu!

Artykuł pański *O wyzyskaniu dóbr naturalnych* zastanowił mnie podwójnie: jako pedagoga i jako klasyka. I dlatego nie mogę się powstrzymać, by nie wygadać się choćby w liście prywatnym.

Tak jest: dawna szkoła miała wielu dziwaków. Gdyby każdy z nas chciał opowiadać o swoich profesorach, nigdy byśmy nie skończyli. Ale chcę tutaj podkreślić, o czym pan zapewne nie wie, że dzisiejsza szkoła stoi o całe niebo wyżej od dawniejszej. Proszę sobie wyobrazić łagodne rządy ludzi, pozbawionych w istocie (choć nieoficjalnie) wszelkich sankcji karnych. Mam na myśli szkołę średnią prywatną. Co może zrobić nauczyciel, jeżeli uczeń coś zbroi? Literalnie nic (powiedzmy to sobie na ucho, aby ani kuratorium, ani uczeń o tym się nie dowiedzieli): szkoda pozycji finansowej w dzienniku, tj. szkoda skreślić ucznia... I ot, pedagog musi tak postępować, aby jednak ten żmudny rząd dusz utrzymać. Z praktyki mogę pana zapewnić, że się to dzisiaj robi zwykłą łagodnością i prostotą współżycia. Autorytet nauczyciela dzisiaj całkiem inaczej wygląda: „*tumor paedagogicus*”³⁰ zanikł prawie zupełnie, każdy na ogół uczeń szczerze zwraca się do swego nauczyciela.

Ale czemu jednak panowie profesorowie dziwaczej? Nie wszyscy, wiem – ale znaczny odsetek. Otóż tu ja, jako młody dość pedagog, będący trochę literatem, specjalnie robię obserwacje. I konstatuję, że zmiany ku gorszemu w charakterze nauczyciela należy przypisać temu, że żaden zawód wyzwolony nie wymaga takiej pracy fizycznej i takiego jednocześnie napięcia nerwów i tak stałej przytomności umysłu, jak właśnie zawód nauczycielski. Adwokat spokojnie obmyśla swoje sprawy lub przemawia w sądzie od czasu do czasu; lekarz leczy spokojnie (inaczej źle leczy!), nauczyciel natomiast przez 6 godzin dziennie ustawicznie musi dzierżyć rząd dusz(yczek), trudnych i nieskorych do ujarzmienia. Tak jest, nie wolno mu się mylić, zawsze musi mieć rację: jeżeli nie, jest kiepskim nauczycielem. I oto cuda metody: nauczyciel, **doprawdy**, ma zawsze rację – w szkole; jedynie w życiu nie potrafi sobie dać rady, bo tam racji mieć nie trzeba, jeno spryt.

Kiedy się pomyśli, że w takim napięciu nerwów i sił nauczyciel musi pracować 35 lat (u nas) do emerytury, otrzymując nędzne wynagrodzenie (400 zł.), to zdumienie i litość nas ogarnia. Po 15 latach ofiarnej pracy dobry pedagog stracił już połowę swojej wartości fizycznej, a tu jeszcze się wymaga odeń wysiłków i poświęcenia. Czy dziw, że najhartowniejsza dusza właśnie wtedy dziwaczeje?

Chciałbym, aby pan zwrócił na to uwagę.

Druża sprawa – wyzyskanie „dóbr naturalnych”. Pański klasyk być może był zboczeńcem i dlatego dobrze uczył. Mogę pana po cichu zapewnić, że szczególnie w żeńskiej szkole nie obywa się co najmniej bez freudyzmu. Uczę łaciny w gimnazjach żeńskich, nigdy nie jest tak cicho w klasie, jak gdy czytam na głos zmysłowo

³⁰ *tumor paedagogicus*, właśc. *timor paedagogicus* (łac.) – gra słów, zamiast *timor paedagogicus*: lęk przed nauczycielem (tj. szacunek dla autorytetu), dowcipny autor listu pisze *tumor*: guz. [przypis edytorski]

rytmiczne wiersze liryczne. Czuję wtedy, że nie jest to wyłączny wpływ poezji, ale trochę i mój – właśnie w sensie freudyizmu.

Powiedziałbym wręcz: nauczyciel, który stracił wpływ swoich „dóbr naturalnych”, powinien przestać być nauczycielem. Ale okłamał was wasz filolog, że Cyntie i Hostie nie figurowały w oryginałach. Jako klasyk mogę zapewnić pana, że „*musa paidike*³¹” zajmuje dużo miejsca w poezji starożytnej, nawet u Platona (Boże, jak biedzę się z czytaniem jego dialogów w żeńskiej szkole, chcąc dać coś więcej niż program, a „demoralizować” tylko w miarę), ale Cyntie i Hostie też istniały. I te rzeczy można śmiało czytać w szkole.

Z szacunkiem dla odwagi mędrca

Dr St. L.

Drugi list był następujący:

Szanowny Panie.

W rzeczy *O wyzyskaniu dóbr naturalnych* poruszył pan sprawę dotychczas wstydliwie przemilczaną. Przytoczone przykłady mają charakter łagodny. Z dzieciństwa swego i z dwudziestoletniej obserwacji rozmaitych szkół i internatów męskich i żeńskich znam, niestety, fakty jaskrawsze, tu i ówdzie zakończone katastrofą. Żaden lekarz szkolny zadaniu temu nie podoła, bo nie może być w jednej osobie higienistą, pediatrą, psychologiem, psychiatrą, neurologiem, seksuologiem i psychoanalitykiem. Przy tym spędza on w szkole ograniczoną liczbę godzin, przeważnie zamknięty w gabinecie lekarskim, pozbawiony bezpośredniego kontaktu z nauczycielstwem i młodzieżą w najważniejszych momentach ich współżycia. Homoseksualizm i paraliż postępowy występują w szkole obok wielu innych chorób i zbrodni. Najprzeróżniejsze dziwactwa heteroseksualne, pedofile, fetyszyzm, demencja, megalomania, zwracają na siebie uwagę nieraz nawet najmłodszych dzieci i wywołują niezdrową sensację wśród dorastającej młodzieży, a jednak bywają tolerowane czy też pozostają niezauważone przez kolegów i kierownictwo.

Wniosek: każdy kandydat na lekarza szkolnego, nauczyciela, wychowawcę, kierownika, winien otrzymać niezbędne wiadomości z psychiatrii, psychopatologii, seksuologii i psychoanalizy, aby mógł należycie zrozumieć wszystkie zjawiska życia szkolnego, aby w razie potrzeby skierować chorego kolegę, nauczyciela czy ucznia do lekarza specjalisty, który albo unieszkodliwi pacjenta przez umieszczenie go na dłuższy czas w odpowiednim sanatorium, lub, dzięki doraźnej kuracji, osiągnie *Sublimierung*³², pozwalającą mu, aby wrócił do szkoły i wyzyskał owo utajone „dobro naturalne” dla jej pożytku. W prawdziwym uznaniu dla odwagi i talentu pisarza-publicysty

Nauczycielka

Oto autentyczne głosy, świadczące, jak światłe i inteligentne nauczycielstwo odniosło się do mojego felietonu; jakże to odbija od naszych klerykalno-brukowych pisemek, które wmawiają w głupców, ni mniej ni więcej, że ja zalecam (!) nauczycielom pederastię, mnie samego lokują w sanatorium dla zbrodniców i nie oszczędzają mi ani jednej obelgi. Poziom intelektualny tych pism jest taki, że trudno od nich wymagać czegoś innego; toteż stanowią one od dawna moją ulubioną lekturę humorystyczną.

³¹ *musa paidike* (gr. *Μοῦσα παιδική*) – muza chłopięca, poezja homoerotyczna; od nazwy zbioru epigramatów Stratona z Sardes (II w. n.e.), wchodzących w skład Antologii Palatyńskiej. [przypis edytorski]

³² *Sublimierung* (niem.), *sublimacja* – termin psychologiczny, wprowadzony przez Zygmunta Freuda, określający jeden z mechanizmów obronnych osobowości człowieka. Sublimacja to zastąpienie instynktownych działań (np. niskiego popędu) dążeniem do celów wzniosłych i pożytecznych. [przypis edytorski]

Dziwi mnie natomiast bardzo stanowisko, jakie zajął jeden z pedagogów, p. Leon Płoszewski, umieszczając w *Przeglądzie Pedagogicznym* artykuł pt. *O odrobinę szacunku dla pracy ludzkiej*. Pan Płoszewski posuwa się tak daleko, że „piętnuje” mój felieton jako „społecznie szkodliwy a dla nauczycielstwa obraźliwy”.

Porozmawiajmy trochę spokojnie. Obrażliwy? Jak dla kogo. Z listów, które cytuję, nie widać ani trochę, aby nauczycielstwo czuło się nim obrażone. Nie można uogólniać. Między nauczycielstwem są różne elementy; są ludzie, którzy chcą myśleć, i są tacy, którzy chcą rozdierać szaty, biadać, gromić i celebrować. Ja pisałem dla pierwszych.

Mówiłem zresztą, z własnych wspomnień, o szkole galicyjskiej sprzed lat z górą trzydziestu, a ta chyba nie ma tak wiele wspólnego z dzisiejszą szkołą polską, aby się za nią obrażać. A jeżeli poruszam doniosłe i poważne kwestie tonem żartu, to już był czas do tego się przyzwyczaić; nie pierwszy to raz ludzi gorszą, a zwykle potem przyznają mi słuszność. I, jakby dla oświecenia tej kwestii, równocześnie z pojawieniem się fałszywie patetycznego artykułu p. Płoszewskiego, wybucha sprawa zakładu w Studzieńcu³³, która dość chyba jaskrawo oświeca to, co ja poruszyłem: mianowicie, jakie mogą być skutki zbrodni i chorób tych, którzy mają powierzone wychowanie młodzieży, i jak niedostatecznie zwraca się uwagę na te możliwości.

Jakże w świetle tej sensacyjnej sprawy wyglądają wywody p. Płoszewskiego? Doprawdy, często argumenty, które się przeciw mnie wytacza uroczyście, mniej mają wagi, niż te, którymi ja posługuję się żartem. Oto z powodu moich uwag na temat paraliżu postępowego, który może drażnić niedostrzeżenie organizm przez parę lat, zanim jawnie wybuchnie, pisze p. Płoszewski:

Ogólne wnioski autora z faktu, że miał wśród swych nauczycieli jednego „paralityka postępowego”, nie są chyba traktowane poważnie, bo równie dobrze można by, na podstawie popadnięcia w szalę poety X. czy literata Y., żądać „badania, przynajmniej co pół roku, reakcji żrenicowej literatów”.

Bardzo wdzięczny jestem memu przeciwnikowi za tę enuncjację, bo okazuje ono jasno lekkomyślność jego ataku. Trudno w istocie o gorzej dobrany przykład. Poeta, literat! Czym grozi społeczeństwu to, że literat nadeśle, dajmy na to do **Skamandra**, wiersz pisany w początkach paraliżu postępowego? Albo mu redaktor wiersza nie wydrukuje, albo też chory poeta stworzy jakąś nową szkołę literacką, jakich neo-dadaistów czy coś podobnego, wiersz jego może być zresztą bardzo interesujący, w każdym razie nie grozi to nikomu szkodą. A przenieśmy ten sam wypadek na takiego dyrektora zakładu w Studzieńcu: niech się przypadkowo pokaże, że on od dłuższego czasu cierpi na paraliż postępowy lub inną umysłową chorobę, która sprawiła, że był katem i demoralizatorem powierzonych mu dzieci? – czy i wówczas p. Płoszewski powie, że to zupełnie to samo? Moi drodzy ludzie, zastanawiajcie się trochę, zanim zechcecie chwycić Boya-mędrca na głupstwie lub szkodliwości. Pamiętajcie, że i kolega mój, Sokrates, skazany był na śmierć za szkodliwe nauki i psucie młodzieży.

Pan Płoszewski woła o „odrobinę szacunku dla ciężkiej pracy ludzkiej”: mój Boże, do kogo to mówić; ja sam tyle pracuję, że gdzieżbym nie miał szacunku dla pracy ludzkiej! Ale właśnie dlatego pozwolę sobie zwrócić uwagę p. Płoszewskiemu, że pisanie książek i artykułów to jest **moja praca**; jeżeli więc p. Płoszewski – na podstawie takich argumentów jak powyższy! – tę pracę **piętnuje** (wielkie słowo!), mógłbym i ja, gdybym miał skłonność do frazesów, wykrzyknąć patetycznie: żądam odrobiny szacunku dla mojej pracy, dla pracy ludzkiej!

A teraz mówmy o czymś przyjemniejszym, choćby o paraliżu postępowym.

Nie trzeba być mędrcom, aby zrozumieć, że doniosłość i niebezpieczeństwo społeczne tej choroby najściślej są zależne od stanowiska, jakie chory zajmuje. Opowiem w dalszym ciągu,

³³ *zakład w Studzieńcu* – zakład poprawczy dla chłopców w Studzieńcu pod Żyrardowem, założony w 1876 r. i funkcjonujący nadal w XXI w.; w 1929 r. w zakładzie wybuchł skandal, kierownictwo usłyszało oskarżenia o złe zarządzanie, nadużycia i malwersacje finansowe, placówka przeszła pod zarządek Ministerstwa Sprawiedliwości i została zreorganizowana. [przypisy edytorski]

jak raz postawiłem diagnozę paraliżu postępowego u krytyka teatralnego; okazało się, że trafnie; no i cóż, nikt z tego szkody nie poniósł, co najwyżej publiczność przeczytała parę oryginalnych recenzji, zanim krytyka posłano na bezterminowy urlop. Otóż wyobraźmy sobie, że ten krytyk, zamiast być krytykiem, jest (nie chcę powiedzieć pedagogiem, skoro to p. Płoszewskiego tak obraża), ale starostą, wojewodą, nawet – strach pomyśleć – ministrem? ambasadorem? Każdy zrozumie, jak nieobliczalne mogą tu być następstwa. Wiecznie wisząca możliwość paraliżu postępowego u ludzi na wybitnych stanowiskach, toż to jedno z najgroźniejszych zagadnień ludzkości. Gubernator Bośni, generał Potiorek³⁴, tuż po wybuchu wielkiej wojny uległ objawom paraliżu postępowego, i w Austrii bardzo żywo komentowano fakt, że stan jego i prowokacyjne zachowanie się wobec ludności mogło wpłynąć na katastrofę sarajewską, a tym samym na wybuch wojny światowej. Jeden paralityk! Był w Przemyślu sławny generał Galgotzy³⁵, srogi i bezwzględny przełożony, ale wyborny generał, cieszący się nieograniczonym zaufaniem cesarza i budzący postrach we wszystkich. Ten dostał paraliżu postępowego, ale nie od razu oczywiście poznano się na tym; któryż zresztą z podwładnych ośmieliłby się postawić tę diagnozę, tak uwłaczając subordynacji wojskowej! Generał ów od jakiegoś czasu zdradzał upodobanie do „badań naukowych”; badał mianowicie ciężar gatunkowy żołnierzy rozmaitych broni: w tym celu kazał ich brać pod pachy na sznur i zanurzać nago w wodzie „normalnej”, tzn. o temperaturze czterech stopni Celsjusza. Póki badał ciężar gatunkowy prostych żołnierzy, szło to wcale dobrze; ale gdy chciał przejść do analogicznych badań ciężaru gatunkowego oficerów, porozumiano się z lekarzami i wzięto go do zakładu, gdzie stwierdzono daleko posunięty paraliż postępowy. Gdyby Galgotzy był nie generałem, ale poetą, rozszerzyłby co najwyżej sferę asonansów. Koresponduje obecnie ze mną dwóch literatów mających zdecydowanego fioła, i cóż stąd?

Paraliż postępowy – to choroba mająca swój demonizm, przez swoje bardzo nieznaczące początki, przez swój kapryśny przebieg i objawy. Z upodobaniem rzuca się na ludzi intensywnie pracujących mózgiem. Miałem przyjaciela – jedna z najświetniejszych inteligencji – wspomnianego nieraz Ludwika J.; patrzałem u niego ze smutkiem na postępy tej choroby. Zrazu nieznacznym, ledwie dostrzegalnym odcieniem, coś co mogło uderzyć jedynie bardzo bliskich znajomych i jedynie w porównaniu z tym, do czego się przywykło u tego człowieka. Miesiące upływają, nim się to mgliste odczucie skryształizuje w podejrzenie; nieśmiało dzieli się je z kimś drugim, obserwuje się, śledzi, wciąż żyjąc z przyjacielem na dawnej stopie. Bardzo tragiczny to proces, to mimowolne szpiegowanie, ta obserwacja, której pozytywny wynik jest wyrokiem śmierci, poprzedzonej ruiną umysłową. Kiedyśmy doszli do utrwalenia podejrzeń, zaprowadziliśmy pod jakimś pretekstem biednego Ludwika do wspólnego przyjaciela, wybornego psychiatry, Adama Rydla (brata poety Lucjana). Ten rozpoznał już bez wątpliwości paraliż postępowy i wysłał Ludwika J. pod pozorem kuracji nerwowej do słynnego zakładu pod Wiedniem w Steinhofie. Po jakimś czasie dr Rydel otrzymał od dyrektora zakładu pismo, uprzejme ale wyrażające zdziwienie, że przysłano mu tego chorego z taką diagnozą: pacjent (pisał) jest to inteligencja tak świetna, że o ile prawdziwą przyjemność sprawiło lekarzom obcowanie z nim i rozmowa, o tyle nie czują się w prawie przetrzymywać go w zakładzie, nie stwierdziwszy żadnych objawów rzeczony choroby. Jakoż, wypuszczono go na wolność. W kilka dni potem przywieziono Ludwika J. do tegoż Steinhofu, ale już w kaftanie bezpieczeństwa: wypuszczony, pojechał nie wiadomo czemu do Fiume, tam pokłócił się z policjantem, dostał napadu szału, ubrano go w kaftan. Inteligencja jego zatem, już w fazie paraliżu postępowego, wystarczyła jeszcze, aby olśnić lekarzy ze Steinhofu; jedynie ci, co go znali blisko, zdolni byli ocenić zmiany i różnice. Co więcej, siedząc już w zakładzie z niewątpliwą diagnozą, człowiek ten zaczął intensywnie pracować; on, całe życie improduktym twórczy, jał się gorączkowo pisania. Przełożył tam m.in. na niemiecki książkę Witkiewicza o Matejce tak świetnie, że widziałem list Witkiewicza nie mający dość słów entuzjazmu dla tej pracy.

³⁴ Potiorek, Oskar (1853–1933) – austriacki generał. [przypis edytorski]

³⁵ Galgotzy von, Anton (1837–1929) – austriacki generał. [przypis edytorski]

Taki oto jest zdradziecki i kręty bieg tej straszliwej choroby.

Wspomniałem wypadek, w którym postawiłem pierwszą diagnozę u krytyka teatralnego „Czasu”, Konrada R. Było to podczas wojny. Pochłonięty służbą wojskową i swymi pracami, nie widziałem Konrada R. czas dłuższy. Pewnego dnia, czytam w „Czasie” recenzję teatralną, zdaje mi się z *Pana Brotonneau* Caillaveta³⁶ i Flersa³⁷. Przeczytawszy, telefonuję do redaktora Rudolfa Starzewskiego: „Czy ty czytałeś dzisiejszą recenzję?” – pytam. (Starzewski, w przeciwieństwie do dzisiejszego redaktora „Czasu”, który wolałby się narazić na dziesięć karnych procesów niż przeczytać jakiś skrypt, czytał przed oddaniem do druku każdą literę). „Przyznam ci się, że wyjątkowo nie, miałem taki nawał polityki...” (Było to w pełnej wojnie, gdy sprawy literackie w ogóle były na ostatnim planie). „No, to przeczytaj. Zdaje się, że będzie to samo, co z Ludwikiem”. Przeczytał i natychmiast udzielił krytykowi urlopu „dla poratowania zdrowia”. W pół roku później dostawiono Konrada do szpitala, też w kaftanie bezpieczeństwa. Otóż recenzja jego nie zawierała dla pobieżnego czytelnika nic nadzwyczajnego. Charakterystyczne i zabawne było, że zachowywała ona najzupełniej styl „Czasu”, była i powaga, i erudycja, i pewne namaszczenie, tylko zastosowane tak, jakby ktoś uderzył w fałszywy klawisz. Zaczynało się: „W miesiącu... roku... (dokładna data) komedia Caillaveta i Flersa dostąpiła tego zaszczytu, że ją wydrukowano w dodatku do paryskiej »Illustration«, na którego łamach, jak wiadomo, pojawiają się jedynie dzieła o nieprzemijającej wartości...” Kończyła się zaś ta recenzja uderzeniem w żałobny dzwon z powodu świeżej śmierci Caillaveta, w tonie takim, jakby umarł co najmniej sam Stanisław Tarnowski. To mi wystarczyło do nieomyślnej diagnozy, którą później potwierdzili lekarze. Ale nie każde pismo ma tak zdecydowaną fizjognomię jak „Czas”... Zresztą każdy przyzna, że to było mniej groźne, niż gdyby ten człowiek miał w ręku los paruset dzieciaków.

Ale nie za to spadły na mnie najcięższe gromy. Raczej za drugą część felietonu, gdzie mówię o znaczeniu mniej lub więcej utajonych elementów erotycznych w pedagogii. Mówiłem o tym w sposób sobie właściwy; zgorszyć i oburzyć mogłem chyba tych, którzy nie mają poczucia żartu, paradoksu, lub tych, którzy celowo chcą przekręcać i źle rozumieć. Pisałem z własnych refleksji i wspomnień, nie troszcząc się zupełnie o literaturę dotyczącą tego przedmiotu, mimo iż nie wątpiłem, że ta literatura – i to bardzo obszerna – z pewnością istnieje. I oto to samo klerykalne pisemko, które, na podstawie mego felietonu, lży mnie i wysyła do sanatorium dla zboczeńców, w drugim artykuliku „polemicznym” stwierdza, że cała ta moja mądrość jest – o zgrozo! – kradziona i że wielce poważni uczeni niemieccy wyrażali w tej mierze... bardzo podobne opinie. Bardzo przepraszam; albo jedno, albo drugie; albo sanatorium za zboczenie, albo kryminał za kradzież; ale oba naraz, to za wiele! Doprawdy, warto przytoczyć ten artykulik, bo ma on znaczenie ostrzegawcze: ukazuje otchłań istic saskiej ciemnoty, w jakiej chciałyby pewne sfery pogrzyżyć i trzymać naszą umysłowość. Tytuł: *Kradziona mądrość Boya-mędrca*.

Boy, zalecający „sublimowaną” pederastię, jako pożyteczny motyw dla wychowawców, ukazał się tym razem w nowej roli – pedagoga... Warto zauważyć, że ta jego mądrość pedagogiczna nie może nawet mieć pretensji do oryginalności – to mądrość kradziona, a mianowicie od Niemców. Taki np. nad miarę wystawiany w pewnych, pod wpływem niemieczyzny pozostających kołach, Edward Sprenger, „neoidealista”, w swojej *Psychologii młodzieży* wcale wyraźnie daje do poznania, że dobrze jest, kiedy „Eros” – nb. **sublimowany!**... – kieruje nauczycielem w stosunku do ucznia... Inny szwab, niejaki H. Blüher, daje całą teorię perwersji, a nawet w rozprawie pt. *Wanderbewegung*³⁸ *als erotische Erscheinung*³⁹, takie

³⁶ *Caillavet de, Gaston Arman* (1869–1915) – fr. dramatopisarz. [przypis edytorski]

³⁷ *Flers de, Robert* (1872–1927) – fr. librecista, dramatopisarz, dziennikarz. [przypis edytorski]

³⁸ *Wanderbewegung* – chyba *Wandervogelbewegung*? [*Wandervogel* (niem.: Wędrownie ptaki) to nazwa powstałego w 1898 r. w Niemczech ruchu młodzieżowego, promującego turystykę, łączył fizyczną i miłość do przyrody; ruch prekursorski w stosunku do

właśnie „istotne” tendencje insynuuje (słusznie czy nie, niech o to Niemcy się spierają!) tak silnie rozwiniętemu ruchowi turystycznemu młodzieży niemieckiej. Objawy patologiczne, same w sobie smutne, zdarzają się wszędzie, ale tylko Niemcy są na tyle dowcipni, by dorabiać do świństwa teorii i zalecać ją światu jako wartość cywilizacyjną! Pan Boy-Żeleński, który jako tłumacz z literatury francuskiej przyswoił naszemu piśmiennictwu wiele arcydzieł, ale niemało rzeczy, bez których od biedy byłoby się obeszło, teraz bierze się do przyswajania nam mętów niemieckiej mądrości, od dawna zdemoralizowanej przez heglowsko-panteistyczny kult dla faktu: wszystko, co jest, ma swoją rację bytu, ergo... jest wartościowe!... Od takich mętów „filozoficznych” trzeba bronić naszą umysłowość, nasz gust, nasze zdrowe instynkty...

Dotychczas u nas „najsztubtelniejszym twórcy idealnego pedagoga” były uczucia ojcowskie, przyjacielskie, patriotyczne, religijne, idealizm moralny – i te jakoś naszemu prostactwu całkowicie wystarczały!...

W ten sposób rozprawiają się te sfery z „mądrością szwabów”: typowy odzew naszego „zagłobizmu”. Nie zdaje mi się, aby koleje Polski wykazały, że nam się tak dobrze działo z naszym „prostactwem”, iżby je tak triumfalnie nad „szwabskie wymysły” gloryfikować. Oczywiście teraz to samo piśmko rzuciło się skwapliwie na artykuł p. Płoszewskiego; przedrukowuje go z radością, „piętnując” za jego przykładem nieszczęsnego Boya-mędrca. W ten sposób *Przegląd Pedagogiczny*, który z przeznaczenia swego ma służyć światłu i w którym powinny by się znaleźć takie listy nauczycielstwa, jakie przytoczyłem poprzednio, lub też wszelka inna ale dorzeczna wymiana zdań, stanął na jednym poziomie z najciemniejszą ciemnotą i dostarcza jej argumentów... Cóż za nieporozumienie!

Ale mędrzec i to przeczeka. Ma czas.

niem. skautingu; niem. *Bewegung*: ruch. Red. WL]. [przypis autorski]

³⁹ *Wanderbewegung als erotische Erscheinung*, właśc. *Die Wandervogelbewegung als erotisches Phänomen* (niem.) – *Fenomeny erotyczne w „Ruchu Wędrownych Ptaków”*; praca Hansa Blühera z 1912 r. [przypis edytorski]

Dokumenty

Znąją wszyscy powieść *Fermenty* Reymonta. Pamiętacie tam urzędnika kolejowego na małej stacyjce, który jest zarazem zawiadowcą i kasjerem, własnym swoim zwierzchnikiem i podwładnym. Dostaje z czasem fioła na punkcie podwójności swych funkcji; sam ze sobą koresponduje, żąda wyjaśnień, udziela sobie nagany, etc. Coś podobnego grozi po trosze każdemu człowiekowi, który ma podwójne agendy. Tak np. ja: jestem autorem i krytykiem. Dawniej nie zazębiało się to o siebie; jako krytyk zajmowałem się teatrem albo daleką Francją. Ale od jakiegoś czasu ogarnęła mnie rozpusta przeszłości, perwersja dokumentu; raz po raz wyciągam jakieś szpargały, wpatruję się w stare fotografie. Otóż czuję, że z tą chwilą ta kumulacja charakterów staje się niebezpieczna. Boy-krytyk i badacz zaczyna ciekawie zerkać na skrytkę, gdzie znajdują się rozmaite dokumenty dotyczące Boya-autora i co gorsza człowieka. Czasem zdarzy mu się, kiedy wyjdę z domu, wracać po cichu, zakradać się do pokoju i chodzić na palcach koło tego kantorka, od którego wiem, gdzie Boy chowa kluczyk. To już groźne, prawda?

Czasem zaglądam: czy jako ja, czy jako ten drugi? Czegoś mi potrzeba, czegoś szukam, więc niby to jako ja; ale czuję, że tamtemu drugiemu aż oczy się świecą przy każdym świstku, który biorę w rękę. Ja jestem zdrow i pełen wigoru, a ten drugi, kanalia, już myśli „pośmiertnie”. Patrzy łakomie na jakieś wierszyki pisane do prywatnych osób, czasem w celach erotycznych, nigdy nie wydane, i kombinuje sobie, co by to był za sensacyjny artykułik do „Wiadomości Literackich”. To znów jakiś drobiazg okolicznościowy, wymagający komentarza: wszyscy będą się biedzić, a on wie co, jak, czemu! I kiedy to stanie się pośmiertne, czyli aktualne, jego nie będzie, żeby to wypaplać: to się wściec można! A taki na przykład brulion wierszyka, wpisanego do albumu nieletniej bratanicy:

Jeden o herbach swych plecie,
Drugi bogactwem się puszy,
Lecz wierzaj: nie ma na świecie
Nic ponad pogodę duszy.

Niechaj los wszystko ci zburzy,
Uczciwość, cnotę i mienie.
Bylebyś z życia podróży
Wyniosła **czyste sumienie!**

Czy to włączyć do dzieł zbiorowych Boya, czy nie? Ileż tu pasjonujących zagadnień dla krytyka!

I, w czasie takiej eskapady w przeszłość – mogę powiedzieć cudzą – znalazłem dokument, ot zdawałoby się nic: rękopis starego wierszyka, idiotycznego zresztą, który znacie ze *Słówek: Ludmiła*⁴⁰. Boy-badacz pieści go miłośnie, obraca w rękach: co to? z drugiej strony rękopisu niemiecki formularz recepty kolejowej! I znów przemiana osobowości: znika uczony erudyta, i już ja sam, wpatrzony w ten dokument, biegnę pamięcią wstecz. Śnieg jest jak dzisiaj, ja stoję obok palacza na starej trzęsącej lokomotywie, co chwila otwiera się czeluść, z której bucha czerwony żar. Ileż chwil życia tak spędziłem!

Nominację na lekarza kolejowego otrzymałem w tym samym roku, w którym wydałem pierwszy tom piosenek i wierszyków. Lekkomysłnością tą przypieczętowałem na zawsze moją karierę niedoszłego docenta chorób dzieci; trzeba się było obejrzeć za czym innym. I co mi tam zaszkodziło,

⁴⁰ rękopis starego wierszyka, idiotycznego zresztą, który znacie ze *Słówek: Ludmiła* – w tym miejscu w publikacji źródłowej zamieszczono reprodukcję austriackiego formularza, a obok rękopis wiersza *Ludmiła*; podpis pod reprodukcją: Znalezione rękopis utworu Boya, lekarza kolejowego. [przypis edytorski]

tutaj mi pomogło; posadę moją dostałem dzięki protekcji amatora moich piosenek i wierszyków, który był sekretarzem prezydiatnym przy ministrze kolei w Wiedniu. Obecnie handluje w odrodzonej Polsce spirytusem.

Nie chcę wymawiać memu dobroczyńcy, kochanemu Poldkowi S., ale posada była straszna. Była to tak zwana „sztreka” czyli „przestrzeń”, od Krakowa do Podłęża. Poza ranną ordynacją dla przychodnich chorych, trzeba było w każdej chwili być na zawołanie; przychodziła depesza służbowa z „przestrzeni”, że chory taki a taki wzywa pomocy. Nigdy się nie wiedziało co cięższe, a co lżejsze, co nagłe, a co nie, więc na każde wezwanie – o każdej godzinie dnia i nocy – jazda! I co za jazda! Jechało się tym, co było pod ręką: pociągiem osobowym, towarowym, bydłowym, lokomotywą. Ileż przeszkód, mitręgi. Pytam np. telefonicznie stacji, jakie jest najbliższe połączenie. Odpowiadają mi: za dziesięć minut odchodzi ciężarowy. Pędzę na dworzec, ciężarowy już w ruchu; nie chcąc stracić okazji, wskakuję w biegu, z małym ryzykiem skręcenia karku, i kontent z siebie sadowię się na bremzie⁴¹. To znów pokazuje się, że pociąg nie może odejść, bo Płaszów „nie puszcza”. Czekam chodząc po peronie, pół godziny, czasem więcej, wpatrzony w sygnał, który ma oznajmić *frei*⁴². Nareszcie ruszamy. Pod Płaszowem – *halt*⁴³! Płaszów, to węzłowa stacja z ogromnym ruchem; nie zdarzy się prawie ciężarówce przebyć jej bez zatrzymania. Siedzę na mojej bremzie, marznę, wysiadam, chodzę, znów wsiadam... gdyby to wiedzieć, ile się będzie czekało, tobym się odpowiednio nastawił psychicznie, ale tego nikt nie wie: może minutę, może trzy kwadransy, nie wiadomo. Wreszcie „*frei*”: jazda dalej. Przybywam do Podłęża, nie ma na stacji koni; nie przysłali, nie mają obowiązku; trzeba iść po strasliwym błocie, dwadzieścia minut, pół godziny. Przychodzę i dowiaduję się, że wezwano mnie, bo matka wczoraj się zlekła, że „dziecko jakoś dziwnie patrzy”. – Pokażcie dziecko, zobaczę. – Kiedy go nie ma, poszło gęsi paść. Jest jakaś nemezis: lud, tak długo pozbawiony pomocy lekarskiej, mając ją na zawołanie, nadużywa jej w strasliwy sposób. Zdarzyło się memu koledze, że jechał w nocy z narzędziami do porodu, a pokazało się, że baba nawet w ciąży nie była. Histeria jest u ludu o wiele częstsza niż w salonach, nie jest to bynajmniej choroba „literacka”.

Wracam tedy, zapisawszy coś lub nie, przybywam na stację, czekam; najbliższy pociąg za godzinę, jak się zdarzy. Kiedy minęła godzina, przychodzi depesza, że spóźniony o trzy kwadransy. Potem znów Płaszów nie puszcza, potem znów Kraków nie puszcza, ale już nie czekam, tylko zbiegam po plancie na dół i drałuję pieszo. Nareszcie, straciwszy pięć czy sześć godzin, dobijam do domu, gdzie zastaję – depeszę, wzywającą mnie pilno do... Podłęża! Byłem tam właśnie, widział mnie naczelnik stacji, który nadawał tę depeszę i nie powiedział mi ani słowa o tym drugim wezwaniu! Zapewne, miał inne rzeczy na głowie... Może myślał o pociągu, który trzeba przepuścić, może, w myśl francuskiej piosenki (*il est cocu, le chef de gare*⁴⁴...) myślał o tym, że podczas gdy on ma dyżur i nie może się ruszyć ani na krok, zastępca jego jest wolny, a żona młoda i ognista... czy ja wiem, o czym on myślał. Może zrobił mi to umyślnie, bo urzędnicy ruchu nie lubili lekarzy kolejowych, uważając ich za darmozjadów i zazdroszcząc im (jest czego, mój Boże!) tytułu doktorów. Dość, że dostawszy taką drugą depeszę i zmuszony odbywać znów tę moją Golgotę, myślałem nieraz, że się rozbeczę z desperacji.

Co to była za służba, wyrażę tym jednym. Kiedy wybuchła wojna i wcielono mnie do wojska, świat się trząsał w posadach, a ja myślałem z uczuciem ulgi: nie będę jeździł na *sztrekę*!

I doprawdy, nie wiem, jak bym przetrzymał to wszystko, gdyby nie – wierszyki, które mnie nawiedzały w owej epoce. One mnie ratowały od rozpaczki. Doszedłem do takiej wprawy, że ledwo usadowiłem się w wagonie lub częściej na **bremzie** (hamulcu), zaraz zapadałem w rodzaj katalepsji; oblegały mnie słowa, słówka, rymy, melodie, i tak spędzałem tych parę godzin, przerwanych na

⁴¹ *bremza* – duże koło na tylnej ścianie wagonu kolejowego, uruchamiające dodatkowy hamulec. [przypis edytorski]

⁴² *frei* (niem.) – wolny, otwarty. [przypis edytorski]

⁴³ *halt* (niem.) – stop; stój. [przypis edytorski]

⁴⁴ *Il est cocu, le chef de gare* (fr.) – Naczelnik stacji jest rogiem; słowa fr. piosenki, powiedzonko do dziś popularne we Francji. W 1925 r. ukazała się komedia o tym tytule, której autorami byli André Mouëzy-Éon i Nicolas Nancey. [przypis edytorski]

chwilę na wpeł przytomnym opukaniem chorego i zapisaniem recepty. Prawie wszystkie moje wierszyki powstały w ciągu tych lat na bremzie albo na lokomotywie. W tej chwili znajduję w kantorku jakiś kalendarzyk reklamowy **glicerofosfatów Robin**, gdzie trzęsącym się ołówkiem – widać, że pisane w ruchu – znajduję zanotowane bruliony i warianty różnych lekkomyślności. A ile nieutrwalonych, niedokończonych, uleciało z dymem lokomotywy!

I stanęła mi w myśli jak żywa historia Ludmiły. Przechowała mi się w zakamarkach pamięci, ponieważ przez nią zdarzyło mi się, jedyny raz, minąć stację, jadąc do chorego. Wezwano mnie do Podłęża. Przypadkowo trafiłem na osobowy pociąg: gratka! Było to w zimie, pociąg przegrzany czekał bez końca na odjazd, siedziałem sobie w cieple z zamkniętymi oczami i anim wiedział, ile czasu upłynęło, nimeśmy wreszcie ruszyli. Dumałem o Ludmile. Nie wiedziałem, kiedyśmy minęli Płaszów, tak byłem zajęty jej losami. Skąd mi się wzięła, czemu ta, czemu taka, lichy ją wie. Każda twórczość ma swoje „czterdzieści i cztery”. Nie wiedziałem, jak się to skończy, co się z nią stało. I zadumałem się tak głęboko, że kiedy machinalnie spojrzałem w okno, ujrzałem nieznany pejzaż. Wzdrygnąłem się. Moją „przestrzeń” znałem jak pacierz; po drzewach mogłem poznać, na którym znajduję się kilometry. Oszołomiony, spuszczałem szybę, wyglądam, naraz pociąg zwalnia, stacja Kłaj! Przejechałem moją stację, gdzie mnie oczekiwano u chorego. Wsiadam wściekły; wpadam do kancelarii, rzucam się do stołu, wydaję z kieszeni formularz recepty i notuję historię Ludmiły, której koniec uświadomił mi się w nagłym olśnieniu. Nieznany mi i nieznający mnie wzajem naczelnik stacji patrzy na mnie jak na wariata; przepraszam go za moje wtargnięcie do sanktuarium Ruchu i pytam o najbliższą okazję do Podłęża. Wróciłem do domu z kilkogodzinnym opóźnieniem i z tą *Ludmiłą* w kieszeni. Jest to rzadki egzemplarz, bo w ogóle nie chowałem wówczas moich autografów, nie wiedziałem, że dojdą takiej ceny. Boy-historyk literatury znalazł go w biurku Boya-autora i ogłasza. Czy to jest początek losu owego naczelnika-kasjera z *Fermentów*? Któż to wie!

Jeszcze dokumenty

Ogłaszając pierwszą partię znalezionych dokumentów, zaznaczyłem pewne refleksje, jakie mi nasunęło to „rozdwojenie osobowości” na autora i badacza literatury, na człowieka i obserwatora; to czyhanie na przejawy życia, którego jestem podmiotem i przedmiotem. Wszystko to, przez analogię do owego Reymontowskiego zawiadowcy stacji i kasjera w jednej osobie, wydało mi się dość niepokojące. Cóż dopiero, kiedy w ostatnich czasach wierna „Informacja Prasowa” zaczęła mi przynosić pewne „głosy prasy”. Przeląknęłam się, kiedy się ujrzałam w tym zwierciadle: przedwczesny uwiad starczy, sanatorium dla zboczeńców, szpital jako najwłaściwsze dla mnie miejsce, ekshibicjonizm, symulacja, zgniła gorączka, rajfurstwo⁴⁵, „polski Goriot” (nie wiem czemu, pocziwy ojciec Goriot z Balzaka stał się nagle dla naszych świątobliwych analfabetów najcięższą obelgą, coś tak jak u chłopów „omentra”⁴⁶ albo „sufragan”⁴⁷?). Przewertowano moje pisma; znaleziono w nich zwierzenie, że cierpię na **bradykardię** (zwolnienie tętna) i że w chwilach takiego „odpływu życia” czuję się zdolny do wszelkiej **perwersji**, nawet **zbrodni**, byle je trochę popędzić. Straszna ta wiadomość, powtórzona tłustym drukiem, obiegała część prasy, jako oczywisty dowód moich zbrodniczych instynktów.

Wszystko to będzie kiedyś cennym przyczynkiem do dzieła *Historia głupoty w Polsce*, o ile znajdzie się taki benedyktyn, taki tytan pracy, aby je napisać. Ale, jako mędrzec, mam ten zwyczaj, że cokolwiek mi ktoś powie, choćby to był najgorszy człowiek i rzecz najobelżywsza, zastanawiam się, ile w tym może być prawdy. Może w istocie jest ze mną niedobrze? Rozpocząłem nad samym sobą gruntowne badanie. Zapuściłem się w genealogię; niewyraźna: zarówno po mieczu (jeśli to można nazwać mieczem), jak po kądzieli, mam w rodzinie sporo wypadków obciążających z punktu widzenia normalności umysłowej... I kiedy tak dumałem nad sobą samym, szperając moim obyczajem w dokumentach, wpadł mi w rękę akcik dość szczególny. Jest to urzędowy protokół⁴⁸ c. k. policji krakowskiej, jeszcze z r. 19... Protokół ten, którego reprodukcję zamieszczam, brzmi:

Dr Tadeusz Żeleński, 26 lat liczący, syn Władysława i Wandy, rodem z Warszawy, lekarz, zamieszkały w szpitalu św. Łazarza na ulicy Kopernika, doprowadzony przez c. k. ajenta cyw. pol. Nykulacza oraz c. i k. kaprała policyjnego Golenia dnia 8 XI 19.. o godzinie ½ 1 rano, z powodu iż tenże, idąc chodnikiem od ulicy Siennej ku głównej poczcie, nie wymawiając żadnych wyrazów, krzyczał w okropny sposób, tak iż się ludzie mogli przerazić nawet w odleglejszych ulicach.

Doprowadzony zupełnie trzeźwy przyznaje, że krzyczał, bo jest cierpiący na nerwy. Po stwierdzeniu tożsamości, puszczony wolno.

Podpis nieczytelny.

Przypominam sobie, skąd ten papier dostał się w moje ręce. Policja przesłała go dyrektorowi szpitala, gdzie pracowałem jako lekarz; dyrektor szpitala wezwał poufnie mego starszego brata, wypytyując go dyskretnie o mnie i oddał mu ten papier, a brat mój, wpół śmiejąc się, wpół zakłopotany, oddał go mnie. W ten sposób akt ten znalazł się w moim posiadaniu: cóż za skarb dla historyka literatury!

Nic do tego suchego dokumentu dodać nie potrafię. Krzyczałem; to fakt. Ale czemu? Nie umiem wyjaśnić, tak jak nie umiałem wyjaśnić w urzędzie policyjnym. Zeznałem, że cierpię na

⁴⁵ *rajfurstwo* (daw.) – stręczycielstwo. [przypis edytorski]

⁴⁶ *omentra* (daw. gw.) – geometra; na wsi w XX w. pojawienie się geometry, tj. geodety, było kojarzone ze zmianami własności ziemi, czyli z zagrożeniem. [przypis edytorski]

⁴⁷ *sufragan* – biskup pomocniczy. [przypis edytorski]

⁴⁸ *urzędowy protokół c. k. policji krakowskiej* – w publikacji źródłowej zamieszczono w tym miejscu reprodukcję poniższej notatki odręcznej. [przypis edytorski]

nerwy; bo cóż miałem powiedzieć, aby uniknąć grzywny lub aresztu? Ale czemu krzyczał? Może jakiś kosmiczny ból ziemi krzyczał przez moje gardło w tę noc jesienną i to tak, że „ludzie mogli się przerazić nawet w odleglejszych ulicach”? Teraz już nie krzyczę. Czy to znaczy, że mi lepiej, czy zastygłem w niemej rozpacz, czy po prostu znalazłem wyładowanie w powołaniu pisarskim, którego wtedy nie byłem świadomy? Nie wiem.

A oto drugi dokument z ciemnego momentu mego życia. Pismo dziekana uniwersytetu poznańskiego.

Uniwersytet Poznański, Dziekanat Wydziału Filozoficznego w Poznaniu, dnia
1 lipca

L.dz.175.

Do Jaśnie Wielmożnego Pana Profesora Dr-a T. Żeleńskiego
Kraków

Dziekanat Wydziału filozoficznego Uniwersytetu Poznańskiego zapytuje niniejszym uprzejmie, kiedy J.W.Pan Profesor przybędzie do Poznania celem objęcia katedry.

Sprawa nominacji J.W.Pana Profesora została pomyślnie załatwiona w Ministerstwie W.R. i O.P. jako też sprawę kosztów przeniesienia pomyślnie załatwiło Ministerstwo Skarbu, oficjalna nominacja na Profesora Uniw. Poznańskiego zostanie ogłoszona w najbliższym czasie. Dziwi nas zatem wiadomość tutejszych dzienników o przyjęciu przez J.W.Pana Profesora posady Dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Dziedkan Wydziału filozoficznego

Skąd przyszedłem do tego pisma i w ogóle do korespondowania z dziekanami? Było tak. Zaproponowano mi objęcie katedry literatury francuskiej w Poznaniu. Wahałem się; namawiano mnie. Upłynął rok, półtora roku, o niczym ani słycho. Półtora roku wtedy, to było bardzo dużo, warunki życia tak się zmieniały, epoka była tak gorąca... Zupełnie zapomniałem o tej całej profesurze, przeniosłem się tymczasem do Warszawy, poszukałem innego uczciwego zajęcia... Zapomniałem na śmierć. Naraz, nie zawiadomiwszy mnie ani słowem o nominacji, pytają mnie ostro, kiedy przybędę objąć katedrę, „dziwią się” czemuś... Zląkłem się tak surowej władzy; wolałem zrezygnować. Byłem młody, płochy... Ale dziś, kiedy patrzę na rzeczy poważniej, fakt doszczętnego zapomnienia w tak doniosłej sprawie życia znów wydaje mi się podejrzany...

I kiedy się zastanawiam nad tym wszystkim w świetle najnowszych „polemik”, w świetle tego, co piszą o mnie osoby nabożne powodowane szczerą miłością bliźniego, widzę tylko jedno wytłumaczenie. Ale na to potrzebny jest mały wykład medycyny. Każdy wie, co to jest **padaczka**, czyli **epilepsja**. Nieraz zdarzyło się wam widzieć na ulicy człowieka, który leży nieprzytomny na chodniku, tłucze głową o kamienie i toczy pianę z ust. Otacza go zwartym kołem tłum, patrząc nań ze zgrozą i wzywając pomocy; jedynie doświadczony posterunkowy wie, że nic tu nie trzeba robić, tylko zostawić nieszczęśliwego w spokoju, co najwyżej uważać, aby sobie nie rozbił głowy. Jedną z cech takiego ataku jest wielki palec wciśnięty w pięść; tak, że niezręcznych symulantów poznaje się po braku tego objawu.

Ale nie każdy wie, że ta choroba to jedna z najciekawszych komediantek, jakie istnieją; że lubi się przebierać w rozmaite formy, znane w medycynie jako krypto-epilepsja. Znana jest *absentia epileptica*; okresy, w których człowiek spełnia jakieś niewytłumaczone, często niezgodne z jego charakterem czynności, będące niejako „namiastką” ataku epileptycznego. I kiedy dumałem tak nad sobą samym, spojrzalem i – wzdrygnąłem się z przerażenia: oba wielkie palce miałem wciśnięte w pięść! Zacząłem się obserwować, śledzić; stwierdziłem, że ile razy się zamyślam nad jakąś doniosłą kwestią, ile razy przeżywam treść przyszłego felietonu, oba wielkie palce mam schowane w pięść.

I zdaje mi się, że utrafię w intencję moich cenzorów, jeżeli tu poszukam wytłumaczenia wielu szczegółów zarówno mego życia, jak i kariery pisarskiej. **Krypto-epilepsja**. Tajny epileptyk, tak jak był dawniej **tajny radca**. Może to lojalne zwierzenie położy wreszcie koniec oszalałym atakom na mnie. Nie szanują mojej pracy, może uszanują chorobę.

Asnyk⁴⁹ i dziewczyna

Nie wiem czy, spomiędzy analfabetów, którzy stanowią większość moich czytelników, zna kto jeszcze wierszyk Asnyka: *Gdybym był młodszy...* Wiersz ten, wraz z muzyką Galla⁵⁰, był niegdyś jedną z najpopularniejszych pieśni. O ile pamiętam jakieś wyrwane strofy, brzmiał on tak: „Gdybym był młodszy, dziewczyno, – gdybym był młodszy – piłbym, ach, piłbym nie wino – lecz ustek twoich najśłodszy – nektar dziewczyno”...

A kończyło się słowami: „Ale już jestem za stary – bym mógł, dziewczeczko – zażądać serca ofiary – więc bawię tylko piosneczką – bom już za stary”...

⁴⁹ *Asnyk, Adam* (1838–1897) – poeta, dramaturg; członek Rządu Narodowego podczas powstania styczniowego. [przypis edytorski]

⁵⁰ *Gall, Jan* (1856–1912) – kompozytor i dyrygent. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.